



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Towarzystwo wspierania ubogich na duchu.

Nie samym chlebem człowiek żyje, nie samego chleba też łaknie i jałmużna światła, udzielanego tym, którzy pozostają w ciemnościach niewiedomości, jest jedną z najświętszych gałęzi miłosierdzia ludzkiego — drogą, wiodącą do najczystszej, najdoskonalszej zasługi społecznej. Czem chleb dla ust głodnych, tem promień światła jest dla duchów, pozostawionych w mroku niewiedomości i prawdziwie *dobrą nowiną* ewangeliczną jest i będzie zawsze wiadomość każda, iż tam, gdzie dotąd cień panował, wniesionem zostało coś światła. Czytelnicy naszego pisma wiedzą o tej doskonale dobroczynnej instytucji, istniejącej od lat kilku w Londynie: *People Palace* „Pałac ludu“, gdzie lud ten wielkiej stolicy ucziwie, szlachetnie bawić się i stosunki towarzyskie zawiązywać może. Obecnie dźwignęła się tam instytucja inna: ałac oświaty ludu, który jednak nosi nazwę skromniejszą, pochodzącą od swego założyciela „Toynbee Hall“.

Jest już temu lat kilkanaście jak szlachetnie myślący i czujący młodzieniec Karol Wiliam Toynbee, skończywszy studia prawne na uniwersytecie oxfordzkim, obejrzał się po świecie z myślą zacząć czynienia dobrze bliżnim swoim. Miał on wtedy lat dwadzieścia parę, ciało było wątłe, organizm bardzo delikatny, ale w piersiach mieszkała dusza szlachetna, dusza gorąca, i usunął się z domu rodziców, aby w skupieniu umysłu mógł studiować ekonomią polityczną w zastosowaniu do smutnych kwestyi nędzy angielskich klas robotniczych. Już w uniwersytecie myśl jego otrzymała wyrocznię w tym kierunku popchnięcie. Jeden z profesorów, Ruskin, stawiał przed

oczyłmą studentów zagadnienia, wiążące się ze stanem obecnym warunków pracy, i entuzjasta szedł na jej czele rozbijać na szosie kamienie, aby dać umysłom pojęcie o ciężkiej pracy prostaczków, na korzyść dobra ogółu łóżonej, a którą w jej poziomuści mechanicznej uszlachetniał gorący znoj czola.

Edward Wiliam brał to do serca żywo, nie zadowolnił się też samą wiedzą rzeczy i filozoficzną teorią profesora, że cywilizacya nowoczesna ma przed sobą zadanie wielkie przetworzenia warunków pracy. Po okresie studyów i badań przyszedł okres czynu: zamieszkał w Londynie na *East End*, to jest we wschodnim Londynie, w najsmutniejszej, najposępniejszej jego dzielnicy, na Whitechapel, gdzie nędza styka się z bezprawiem, gdzie powietrze przepełnione jest truciznami najbardziej dla ducha i ciała zabójczymi miazmatów. Wytworzył tu sobie przecież stosunki nietylko towarzyskie, ale przyjacielskie; ludzie lgnęli do niego sercem, bo czuli, że i on daje serce, a byli to wszystko prostaczkowie: rzemieślnicy, wyrobownicy, którym niedostatek kupić się tu kazał, a których on począł nauczać, ostrzegał, wskazywał ścieżki życia czyste, które zawsze i wszędzie istnieją, ale może je znać tylko wstrzemięźliwość i czuwanie nad sobą. Tu wiodły one wszystkie brzegiem przepaści, a on, badając warunki istnienia takie ludzi ubogich na duchu — ludzi, których nie broni żadne światło wiedzy o wyższych, jaśniejszych sferach bytu człowieka, uczuł wielki żal w sercu. Był on niejako u wstępu do życia, był przytem zamożny, umysł miał tak niepospolitą jak serce, świat mógł zatem darzyć go najwdzięczniejszymi uśmiechami swojemi, on przecież postanowił tu pozostać i stać się przyjacielem słabych, ciemnych, potrzebujących ręki bratniej, któraby stała im się drogowskazem, ale to życie poświęcenia wyczerpało przed czasem zasoby sił jego żywotnych; umarł w 1883 r. licząc sobie niewiele co więcej nad lat życia trzydzieści.

Na szczęście ludzkości nasiona kwiatu enoty niezawsze wiatr życia rozprasza marnie po świecie. Zmarły zostawił po sobie uczniów, którzy wzięli do serca jego misję pomagania ludzi przez światło: pisali, wołali z katedry odczytów popularnych i serca się wzruszały, sumienia poruszały do obowiązku najszlachetniejszej, najdoskonalej chrześcijańskiej dobroczynności wspierania ubogich na duchu i obecnie Toynbee-Hall uczyniło się przy pomocy darów i zapisów instytucją stałą studyowania nędz, z braku oświaty powstałych, oraz wyszukiwania dróg, wiodących do rozszerzenia tej oświaty w sferach ludzi ubogich, którym brak środków nie pozwala się dostać do źródeł wiedzy i zaczerpnąć z nich tej wody życia, która ze słabych i nędznych, czyni siłaczy i bogaczów. Dwudziestu młodzieńców dobrej woli i gorącego ducha rezyduje stale w zakładzie przy ulicy Commercial Street, płacąc za mieszkanie i utrzymanie, lecz korzystając nietylko bezpłatnie, lecz w sposób możliwie udogodniony, z pomocy naukowych w zakresie studyowania ekonomii społecznej i stanu klas niezamożnych. O przyjęciu ich tutaj stanowi głos rektora zakładu, którym obecnie jest doktor filozofii, S. A. Bernett. I rezydenci zakładu są to po większej części młodzieńcy z wyższą już nauką uniwersytecką: literaci, inżynierowie, adwokaci, którzy, nie porzucając bynajmniej swego zawodu, zajmują się obok tego kwestyą oświaty klas ubogich i tworzą stowarzyszenie z celem oświaty tej rozszerzenia, a rządzi nimi statut, który każdy ze wstępujących tu przyjmuje, a którego program tak się wypowiada:

„Stowarzyszenie zamierza pracować nad wykształceniem najbiedniejszych klas ludu angielskiego, zamieszkującego Londyn i inne miasta Wielkiej Brytanii, zajmując się kwestyą dobrego użytkowania przez nie czasu wolnego od pracy. Skutkiem tego zobowiązania stowarzyszeni powinni studiować moralne i materialne położenie robotników i ich rodzin, dążąc do polepszenia te-

go, co znajdują tutaj wadliwym i nie odpowiadającym celowi".

Środki wykonania tych szlachetnych, na miłości bliźniego i nakazach chrystyanizmu opartych zamiarach, zostawiają się woli każdego ze stowarzyszonych, szczególnie przecież obowiązanych tu są do pracy usilnej rezydenci Toynbee-Hall, tak stali jak i przebywający chwilowo. Żadna metoda nie jest im nakazana, nie też nie wiąże tu i nie ubezwładnia indywidualnych chęci i porywów uczucia stowarzyszonych. Jedynym przepisem jest: — Bądźcie miłosiernymi dla bliźnich waszych, i świadczcie im miłosierdzie, tak, jak chcecie, aby w razie niedoli wam było świadczonem...

Rozwój stowarzyszenia jest niemal cudownym. Grupa budynków, noszących razem nazwę zakładu Toynbee-Hall, ograniczała się pierwotnie do domu zamieszkiwanego przez członków rezydentów; obecnie, oprócz pawilonu mieszczącego sale wykładowe, powstał pawilon biblioteki z obszernym salonem, czytelnią i gabinetami dla czyniących notatki lub wypisy obszerniejsze, oraz pawilon rozmaitych narad, rozmaitych zgromadzeń w zakresie nauki i dzieł miłosierdzia, związanych z postępem oświaty klas ubogich. Statut stowarzyszenia zowie je też istniejącem dla celów „kształcenia klas ubogich, studiowania umysłowego i moralnego ich stanu, oraz następczania im dobrych środków rozrywki w chwilach wolnych od pracy, jakoteż środków, mogących zwiększyć dobrobyt".

Z sal wykładowych wytworzyło Towarzystwo pewien rodzaj popularnego uniwersytetu — uniwersytetu klas mniej zamożnych, nie mogących stale i w czasie oznaczonym oddawać się kształceniu umysłu. Obok wykładowych, stale prowadzonych przez rezydentów, bardzo często bywają tu tak zwane konferencje, to jest wykłady dorywcze w różnych przedmiotach, miewane przez ludzi nauki, zajmujących się tą instytucją. Dają się tu słyszeć profesorowie uniwersytetów angielskich: Cambridge, Oxford, przebywający czasowo w Londynie; miewają je nierzadko uczeni londyńscy, nie i nigdy nie pobierając za nie, bo wiedzą, że słuchaczami są nie tylko ludzie niezamożni, ale szczerze i prawdziwie żądni wiedzy. Przeglądając też listę roczną wykładowych, spotyka się nazwiska najpierwszych angielskich mężów nauki, a treść ich zawiera: język grecki, łaciński, francuski, włoski, niemiecki; dalej przedmioty z zakresu filozofii: moralność człowieka, moralność zbiorowa narodu, logika, ekonomia polityczna, historia, nauki przyrodzone, fizyczne, matematyczne, wreszcie literatura, historia sztuki. Obok tego muzyka i rysunki — wszystko niemal co człowiek cywilizowanego społeczeństwa znać i wiedzieć powinien, aby mógł się nazywać oświeconym, a gdy na postawione pytanie: jacy tu są słuchacze? usłyszy się odpowiedź, że ludność tej części Londynu, który nazywają *Ciemnym Londynem*, bo jest gniazdem najcięższej pracy, największego ubóstwa duchów i ciał, cudzoziemca ogarnia zdziwienie.

Nie samo już dzieło nauczania tutaj, ale nauczania w tym wysokim stopniu nauki, jaką przedstawia doroczny regestr wykładowych, zadziwi każdego podróżnika, który, przybywszy do Londynu, dowie się o tym uniwersytecie, jedynym na całej kuli ziemskiej. A w salach przepełnionych przez słuchaczy spotyka się niemal wyrostków piętnastoletnich, których tu nikt nie wysyła, a którzy cisną się sami, terminatorzy wszelkich rzemiosł, chłopcy posługujący w sklepach, Bóg wie jak odziani, Bóg wie czy nie głodni? Aby ta cała rzesza łaknąca pokarmu wiedzy mogła z wykładowych korzystać, odbywają się one zwykle wieczorem, poczynając od siódmej, ósmej godziny, to jest wtedy, gdy dzień pracy zarobkowej kończy się w Anglii. Uczęszcza tu regularnie najmniej tysiąc słuchaczy, a choć Londyn jest największym w Europie aglomeratem ludności, liczby to imponujące.

Biblioteka zakładu, licząca 5.000 tomów, otwarta jest w Niedzielę nawet, co przy niezmiernie surowym święceniu dnia tego przez cały naród w klasach wszystkich, przy niedozwalaniu tu sobie, nie tylko pracy, ale rozrywki wszelkiej, zabawy najniwiejszej, ma znaczenie niemałe. Zamykają tu w niedzielę nie tylko miejsca pracy,

ale teatru nawet, widowiska wszelkie; prócz kościołów stoją otworem tylko garkuchnie ludowe, i Toynbee-Hall, otwierając w dniu tym obszerne sale swojej czytelni, spełnia dzieło prawdziwie filantropijne. Zbiera się tu zawsze w ten dzień poważna liczba ludzi, niewiedzących co czynić z czasem swoim i zawierają się tu stosunki dobre, wytwarzają związki przyjaźni, powstają stowarzyszenia litterackie, naukowe, poświęcone interesom zawodowym i jest ich tutaj stowarzyszeń takich liczba niemała: „Adam Smith Club“, „Toynbee Economie Club“ łączą ludzi zajętych kwestiami ekonomicznymi bieżącego czasu, które się na zebraniach członków dyskutują. Jest klub fizyków, fotografów, klub podróżników, zarządzający doroczne wycieczki po kraju i zagranicą nawet; klub amatorów ćwiczeń fizycznych, ale jest i „Toynbee Shakespeare Society“, „Toynbee Philosophical Society“, „East London Antiquarian Society“, „Natural History Society“ a wszystkie to stowarzyszenia, umoralniające przez zajęcia umysłu szlachetne, następczają ludziom średnich klas ludowych zeknięcie się z warstwami wyżej wykształconymi, których towarzystwo nie pozostaje bez wpływu podnoszącego stan umysłów. Z drugiej strony warstwy owe zapoznawają się lepiej z ludem i uczą się rozumieć go — uczą odzywać się do niego i zebrania te ściągają wiele więcej osób niżeli odczyty i konferencje wszelkie, przynoszą też i korzyść większą, bo w rozmowie poruszać można nie tylko więcej przedmiotów, na które potrzeba zwrócić uwagę klas mało wykształconych, ale swoboda rozmowy pozwala ludowi wypowiadać się otwarcie i dać poznać co tu przypada mu więcej do serca i umysłu — co go silniej zajmuje, co go zaciekawia?

Trzeba najpierw wytworzyć w umysłach ciemnych ciekawość wiedzy, zdolność używania przyjemności intelektualnych, a dopiero starać się o zaspokojenie tych potrzeb. Konferencje, przy których wolno jest palić (Smoking conferences) przy których wolno popijać piwo, to niejako stopnie, po których prowadzi się umysły z dołu ku górze: powoli, łagodnie — budzi się je z letargu. Kwestye chwili najpierw z zakresu interesów materialnych pracującego, potem popularne kwestye ogólnego znaczenia, to wprawianie w ruch umysłów, odciganie ich od spraw życia czysto materialnych, codziennych — to nauka zastanawiania się nad ruchem toczącego się wkoło nas życia. Przychodzi za tem z kolei zdolność zastanawiania się nad sobą samym i człowiek przestaje być maszyną dla zaspakajania jedynie materialnych potrzeb swoich — staje się istotą, która myśli, zastanawia się nad sobą i światem. Tego też właśnie pragną ci, którzy przykładają tu rękę do dzieła: wykształcanie umysłów uważane tu jest przez nich, nie za cel główny, ale za środek: chcą, aby oświata podnosiła moralność klas pracujących, uczyła je czuć, myśleć, sądzić — patrzeć na życie z jego strony wyższej, rozumieć obowiązki człowieka i obywatela. Wykształcony umysł nie dopuści, aby mechaniczna praca uczyniła człowieka jedynie pracy tej narzędziem, aby stał się on jednym więcej kółkiem wśród jej ruchu, windą podnoszącą, spuszczającą ciężary. W zeszłorocznym sprawozdaniu z działalności zakładu Toynbee-Hall znajduje się ustęp taki:

„Nie przez platoniczną i bezinteresowną miłość nauki Stowarzyszenie Toynbee-Hall usiłuje ją rozszerzać, ani nawet dla jej pożytków bezpośrednich, że przy pomocy wiedzy, jaką daje, każda pracująca jednostka łatwiej i pewniej zarobi sobie na kawałek chleba. Przewodniczy tu obok tego wszystkiego ta myśl główna, że każda z owych jednostek jest członkiem naszego społeczeństwa, i że przez oddziaływanie jej na życie ogólna summa szczęścia wzrasta, bo oświecenie umysłu daje każdemu, jakiegokolwiek jest jego zajęcie zawodowe, siłę doskonalszego pojęcia życia, wskutek czego wyrozumiałość jego, jego cierpliwość staje się większą, wzrasta szacunek dla tego, co uszanowaniem być powinno, sąd jego o rzeczach czyni się sprawiedliwszym — jednym słowem: rozjaśnia się pojęcie obowiązków, nie zawodowych tylko, ale ludzkich — obywatelskich. I dla tego to w Toynbee Hall urządzone zostały obok nauczania języków i innych przedmiotów, potrzeb-

nych pracującemu, wykłady historyi, moralności — nauk, które, podnosząc rozum, uszlachetniają serce. Usiłuje się tutaj za pomocą wiedzy wyrabiać i rozszerzać pojęcia, kształcić charakter, z tym celem, aby w tym wieku naszym, który, rozszerzając prawa człowieka, zwiększa i jego odpowiedzialność, każda jednostka ludzka umiała myśleć i dostrzegać prawdę, którą namiętności zasłaniają człowiekowi".

KRZYSZTOF KOLUMB

(Dalszy ciąg)

Dla Eratostenesa kulistość ziemi była prawdą już zdobytą przez rozum. Glob ziemski miał według niego, nie 400.000, jak utrzymywali Arystotelicy, lecz tylko 250.000 stadiów olimpijskich obwodu. Myśl ludzka postępowała tu już w kierunku rzeczywistej prawdy: różnica pomiędzy istotnym obwodem, wynoszącym 40.000 kilometrów, a wynalezionym przez Eratostenesa zamyka się w liczbie 4.190-u kilometrów: równik (*diaphragma*) globu antycznego jest o tyle za wielkim. Jak dla poprzedników, tak i dla następców Eratostenesa, a dla tych, aż do czasów Kopernika, ziemia była kulą, a nie ruchomą w przestrzeni — ale była już kulą, a pojęcie to samo przez się już wystarcza do uzacznienia wiedzy greckiej. Zdziwiał nieraz u największego geografa Starożytności dokładne oznaczanie długości, o wiele od oznaczania szerokości trudniejsze i bez obserwacji zaćmień słońca i księżyca wykonywać się niedające. Tak np. Niniwa ma położenie wschodnie na równoleżniku przeprowadzonym przez punkt jej szerokości — a raczej *wzniesienia nad równik* — tylko o 2 minuty za wielkie, Suza o 8. Wyprawy Alexandra pozwoliły Eratostenowi wzbogacić mapę Indyi północnych między Indem i Gangesem zawartych; w Afryce sięgnął uczony aż do południowej Nubii ponad Nilem, który na jego mapie wije się poprawnie; Zatoka Arabska wreszcie zawdzięcza Eratostenowi zarysy brzegów dokładniejsze od dawnych na mapie Dikearcha z Messeny. W ogóle — wielki umysł, trud i zasługa.

Żył Eratostenes od 274—194 r. przed Chrystusem. W sto kilkanaście lat po nim przyszedł genialny nicejszyk Hipparch (165—125 przed Chr.) z wiedzą i umiejętnością astronomiczną i jał je lepiej od poprzednika swego stosować do geografii. Dzielił on już stale koła ziemskie, południkowe i równoleżnikowe, na 360 stopni, a licząc się z prawami kulistości, południki przedstawiał w postaci linii krzywych. Mapografia późniejsza nie zawsze korzystała z tej wskazówki, a sama geografia gwałciła jeszcze hipparchową zasadę oznaczania miejsc stopniami. Na mapie Hipparcha Morze Czarne, Śródziemne, Azja Mniejsza, Zatoka Arabska, kraina Somali, Nil — mają zarysy wielce już zbliżone do rzeczywistych. Tylko Hiszpania Hipparchowa jeszcze chroma, a całe wybrzeże zachodniej i północnej Europy najogólniejszą tylko postacią przypomina ukształtowanie swoje istotne. Morze Kaspjskie łączy się z olbrzymio wydłużoną nadpomorską podstawą Bałtyckiego za pomocą długiej a wąskiej cieśniny. W Azji Jaxartes i Oxus wpadają do m. Kaspjskiego, Zatoka Perska taka prawie jak dzisiaj, a Hindustan, choć maleńki, ma już jednak swój kształt właściwy; Ceylon bliżej do niego przysunięty, Zatoka Bengalska za Gangesem ucieka daleko na północ-wschód.

Astronomia stosowana do geografii nie miała już po Hipparchu nikogo, ktoby mu potęgą i odwagą myśli dorównał, i można bez przesady powiedzieć, że spadek jego przejął dopiero, stawiającą pierwsze kroki po odrodzeniu się w XVI w. wiedza geograficzna.

Przekonanie o kulistości ziemi, będące w wielu umysłach dogmatyczną tylko wiarą, najświetniej wystąpiło jako zasada przewodnia właściwego ziemioznawstwa t. j. znajomości powierzchni, w po-

myślach tebańczyka Kratesa, nieco późniejszego od Arystotelesa. Powierzchnia ziemi zamieszkała przez człowieka rozpada się tu na cztery różne odcinki. Ten, na którym istniał świat antyczny, rozpościera się wzdłuż na 145° stopni, w wyż, w kierunku szerokości geogr., tylko od zwrotnika (23° — 30°) pod koło biegunowe północne, czyli na czterdzieści kilka stopni: jest więc tylko szerokim pasem. Ale takich pasów u Kratesa ma powierzchnia ziemską aż cztery. Pomiedzy Zwrotnikami rozciąga się Ocean, oddzielając powierzchnię półkuli północnej od powierzchni półkuli południowej, a tak samo i w kierunku zachodnio-wschodnim wody oceanu rozdzielają lądy obu półkul. Za Azją musiało być według Kratesa morze, późniejszy Ocean wschodni Starożytnych, ale nie to samo morze, które od Zachodu oblewało Europę; pomiędzy jedno a drugie legły dwa lądy, przecięte przez owo wielkie morze międzyzwrotnikowe. Te lądy—to nasza północna i południowa Ameryka.

Pomysł Kratesa, uderzający swem marzycielstwem, był rzeczywiście przecuciem prawdy, o jakie osiemnaście wieków dla życia, dla jego trudów i zdobyczy, przedwczesnem. Gdyby Europa średniowieczna umysłowo stała była za czasów Kolumba na wysokości Grecji starożytnej, gdyby lepiej wiedziała, co już przed nią rozum ludzki dokazał wiedzą i hipotezą,—wyprawa morska na Zachód dla dopłynięcia do Azji,—wyprawa z powodu odległości, przy ówczesnym stanie żeglarsstwa, zuchwała i niewykonalna,—zamieniłaby się w świadomie przedsięwziętą wyprawę do owych dwóch morzem zwrotnikowym przedzielonych lądów tebańczyka Kratesa i odkrycie Ameryki, zamiast być przypadkowym, niespodziewanym darem rzeczywistości, byłoby wywalczoną na niej bohaterstwo zdobywczą rozumu ludzkiego.

Geografowie późniejsi po Hipparchu wyteżali swe siły na właściwe ziemioznawstwo, a wszystkie owoce ich działalności, wzbogacone własnymi podróżami, własną zadziwiającą wiedzą, pracą i umiejętnością wykładu, zebrał najznakomitszy z ziemioznawców starożytnych, pod koniec już Starożytności żyjący, Strabon z Amazji (r. 66 przed Chr.—24 po Chr.), równie jak jego poprzednicy, Grek. Jego *Geografia* jest pierwszym dziełem umiejętności opisowej, jakie się na świecie zjawilo, i względnie do czasu swego staje obok nowożytnych Ritterów i Reclusów jako dzieło jednej rodziny—syn jej pierworodny. Piąta część znanego wówczas świata stanowi przedmiot porównawczych nieraz opisów Strabona, który, mając silny bardzo popęd do historii, znakomicie szedł za nim w tej swojej geografii—głównem dziś źródłem naszej wiedzy geograficznej o Starożytnych. To, co Niemcy nazywają „*Land und Leute*“, w granicach ówczesnej statystyki, bardzo jeszcze niemowlęcej, geograf grecki uważa za stałą swą zasadę przewodnią i wszystkie krainy rozsiadłe ponad morzem wewnętrznem Starożytności: Grecy, Włochy, Hiszpanię, Galię, Azję Mniejszą, Egipt—nie opisuje, ale maluje,—wytwarzając z nich obrazy, które układają się we wspaniałą całość.

Rzymianie, rozpościerając się po świecie, wzbogacali temsamem i geografją starożytną. Zmysł polityczny i policyjny nakazywał im znać kraje, które podbijali. Pomiary całego państwa za czasów Strabona zarządził Juliusz Cezar. W pół wieku po nim August rozesłał geografów-astronomów, mierników i rysowników po Europie, Azji i Afryce, aby mu zdjęli obraz świata. Trud ten, podobno w zupełności dokonany, wydał z siebie wielki *Orbis*, umieszczony w jednym z portyków Rzymu. Czas nie z tej mapy nie ocalił; barbarzyństwo wszystko zniszczyło. Według tej mapy układano *itineraria* dla urzędników wysyłanych przez Senat, dla wódców mających poskramiać opornych, dla kupców zwożących panom świata jego bogactwa. I znowu umysł grecki, obrócony już na posługi panowania rzymskiego, przodował w tych pracach geograficznych; pomiarów i obliczeń dokonywali dla Rzymian Grecy. W środku drugiego wieku po Chr. Klaudyusz Ptolemeusz, z rodziny greckiej w Egipcie osiadłej, większy jako astronom, niż jako geograf, choć sława jego u potomności w odwrotnym znajduje się stosunku, dał opis ówczesnego świata rzeczywiście znanego i zasływanego z podań, na urzędowej geografii rzymskiej głów-

nie oparty, obfity od opisów i map dawnych, większą powierzchnię lądów obejmujący, ale naukowo, w zakresie geografii fizycznej pozostający daleko w tyle poza mapą Hipparcha. Może mapy, które zaginęły, były od opisu dokładniejsze, ale opisy same stwierdzają fakt, że wiedza geograficzna Greków po Chrystusie upadać zaczęła. Ptolemeusz wydłużył niepomierne Morze Liguryjskie, wyokrąglił m. Kaspijskie i Zatokę Perską, rozciągając już Afrykę daleko pod równik, dał jej fantastyczne zarysy; Hindustan Hipparcha rozpuścił w spokojnej prostej prawie linii brzegów, Ceylon umieścił na lądzie dzisiejszego Dekkanu, za dzisiejszym półwyspem wschodnim za Bramaputram wyrysował jakąś wielką zatokę obrzeżoną od Wschodu lądem, który na wysokości wyspy Borneo załamywał się gwałtownie na zachodopółnocnie i biegł już dalej aż do Zanzibaru. Tym sposobem Ocean Indyjski, ze wszystkich stron zamknięty, był doskonalszym od m. Śródziemnego morzem wewnętrznym, a do trzech części świata przybywała czwarta, „krainami nieznanymi“ nazwana, a wcale nieistniejąca. Wyższość Ptolemeusza nad poprzedników przebiega się w narysowaniu Azji wschodniej, począwszy od Tybetu, Turkomanii chińskiej i Himalaj, we wprowadzeniu do geografii Chin pod nazwą *Serica*, Jawy i Sumatry, Malakki (Chersones Złoty), w lepszym wreszcie odтворzenie Indu, Gangesu. Wszystko to przedstawia się jako owoc stosunków handlowych, spożytkowany przez geografę, którego główną zasługą pozostanie obfitość podanych nazw. Są one jednak często bałamutne, jak np. owa Cattigara, umieszczona w załomie wybrzeży „krain nieznanych“—zabijająca do dziś dnia klina geografom-historykom.

Ptolemeusz dostał się Arabom. Jego *Almagest*, przerobiony z *Syntaxis*, wywoływał w umysłach uczonych ciągle wrzenie astronomiczne, a *Geographia* dawała mu punkt wyjścia do własnych krytycznych opracowań. Kiedy w Europie panowały mroki średniowieczności i przed wojnami krzyżowymi otulały ją w czarną noc obojętności i nierozumu, szereg semicki wyręczał Aryów na wszystkich prawie dziedzinach trudów naukowych. Arabowie i żydzi arabscy zrobili dużo dla geografii, zarówno opisowej, zwłaszcza azjatyckiej, jak i umiejętności rozumowej; z tych robót jednak świat współczesny mało korzystał: zbywało mu na elementarnym organie wiedzy—ciekawości, utrudniał mu naukę brak pośrednika, jakim jest mowa rozumiana przez tych, którzy z przynieszonego im światła korzystają. Chrześcijaństwo odgradzało się od niewiernych wstętem religijnym; idea asketyzmu, umartwienia, pogardy, odrywała umysły od poznawania marności ziemskich, do rzędu których należały przecież i fakta geograficzne. Nowe ludy wносиły w ludzkość nową umysłowość, nowe popędy, nową twórczość, nową zdolność odbijania siebie w świecie, i nawzajem odbijania świata w sobie; ale nie przynosiły własnej swojej cywilizacji i kultury żyć i rozpleń się zdolnej na gruncie, uprawianym już przez tyle wieków, przez tyle wielkich umysłów. Dzikie poczucie własnej indywidualności, własnej siły i opartego na niej prawa nakazywało w pierwszej chwili niszczyć to, co było, a ubogie znowu barbarzyństwo własne nie pozwalało na ruinach stawiać nie nowego. Geniusz tych ludów odradzających świat cały wyteżał się na budowanie nowych społeczeństw, nowych rządów i państw. Wszechludzkie społeczeństwo wiedzy i piękna—wszechświatowe państwo umysłowości, straciła ta nowa genialność w mroki kimeryjskie Homera. Prócz łaciny nie było innego wężla ze światem antycznym. Chrześcijaństwo, zaszczerpiając się na naturach pierwotnych, wydawało z siebie własną umysłowość, własną wiedzę, umiejętność i sztukę, które przecież ani wiedzą, ani umiejętnością, ani sztuką nie były, i przez powolny tylko zwrot do Starożytności lub wyjście poza siebie mogły się podnieść, ożywić i nieśmiertelnością zapłodnić. Chcąc żyć ze światem, trzeba się było zwłaszcza ze Starożytnością przeprosić. Stało się to późno, bardzo późno, dopiero w XV w., gdy już wyszumiało w Wiekach Średnich to, co stanowi jądro średniowieczności. Do tego czasu żyły nowe narody w świecie umysłowym jakby umyślnie stworzonym dla karłów, kalek i niemowląt rozumu. Wszystko w nim by-

ło niepodobne do Starożytności, wszystko przy korzystaniu nawet z niej spaczono. Najchętniej brano z niej bajki, raczono się tem, co rozum mógł przez samo tylko dostrzeganie natury zdobywać. Nowa, własna, nie-pogańska wiedza tworzyła dziwolagi i lubowała się niemi. Nigdzie nie wystąpiło to tak jaskrawo, z tak umysłową plastyką, jak w geografii. Pojęcia geograficzne Wieków Średnich, nawet już po Wojnach Krzyżowych, zapełniają jedną z najciekawszych i zarazem najsmutniejszych kart w dziejach umysłowości powszechnej.

Pojęcia geograficzne umysłu ludzkiego odbijają się na dziełach oka i ręki ludzkiej,—na kartach geograficznych. Nie dzieciniejszego nad średniowieczne mapy świata i pojedynczych krajów, sięgające jeszcze IX w. Przeważnie są one koliste, i odpowiadają niby kształtowi kuli ziemskiej; ale zdarzają się i prostokątne, inną przytem wykonaną metodą. Na tych znać lądy, góry, rzeki, morza; na tamtych z początku są tylko napisy i linie schematyczne, symbolizujące główne dane geografii, jakby katalogi w kształcie medali, obywatelujące się zupełnie bez topografii, nie zdradzające nawet poczucia przestrzeni i powierzchni. Płodem niewiedomości, o wiele przewyższającej nawet geograficzną naiwność Argonautów i Homera, jest mapa świata w kształcie czworoboku, zrobiona w Anglii w X wieku. Ocean oblewa tu ląd ze wszystkich stron, cała Azja południowa wychodzi na wschód, cała Europa wschodnia jest tak wązka, jak Półwysep Apeniński, m. Kaspijskie wpada do północnego, Półwysep Bałkański zajmuje cały środek rzeczywisty lądu, Morze Śródziemne ogromem swoim całą Europę przenosi. Dziecinna ta kartografia rysowała rzeki, góry i morza jednakowo, a tworząc nedoręczne figury geometryczne, w miejsce jakiegokolwiek, choćby najbłędniej pomyślanego, ale z systematycznego myślenia wynikających podziałów, przyozdabiała swoje *imagines mundi* rysunkami murów Rzymu, Kartaginy, Hierozolimy, Troi, Babilonu, wyobrażeniami arki Noego, Świątyni jerozolimskiej, grobu Chrystusowego, Sinai, a na dalekim wschodzie,—bardzo bliskim morza Kaspijskiego,—popisywała się z pięknie fryzowanym lwem, pisząc nad nim, dla większej jeszcze wiary: „Tu mieszka lwy.“ Wszystko to brane było z głowy, wszystko wydawane, nie z miłością prawdy, choćby największem niedołęstwem każdej, jak w początkach umiejętności greckiej, ale z zupełną dla prawdy obojętnością. Są to potworne jakieś widma, z chorej wybuchającej maginacji.

„Obrazy“ okrągłe układ miały inny, niż nasze karty geograficzne: zwracały się ku wschodowi. U góry ukazywały Azja, u spodu, na lewo Europę, na prawo Afrykę, pomiędzy niemi morze, na morzach wyspy. U Honoryusza z Autun w XII w. pomiędzy Azją i Europą faluje Morze Indyjskie, pomiędzy Afryką i Azją Ocean Atlantyczny a obie części świata na półkuli dolnej, zachodniej, rozcina całkiem Morze Śródziemne. Jedyne dobrym jest u tego geografę podział ziemi pod względem klimatycznym na pięć stref: jedną gorącą pośrodku, dwie umiarkowane za nią w dół i w górę, i po jednej zimnej, przy biegunach. Z tego samego wieku kodex turyński ma Adama i Ewę w raju, góry rysowane w całym profilu, napisy dawane bez najmniejszego przestrzeniowego porządku. Ważną rolę gra w układzie kart średniowiecznych wiatr, w 16 niekiedy kierunkach, i morze pod prądami jego, to w tę, to w ową stronę gnane. Konieczne też były dla takich map domówienia pisane, zastępowały bowiem text nieistniejącej geografii. Na uwagę zasługuje *imago* Cece z Ascoli w XIII w. Dzielił on ziemię—już pod koniec wojen krzyżowych stale kulistą—na pasy mieszkalne i niemieszkalne, przypominając tem Kratesa, którego pojęcia może przeżuwał.

Mapy były coraz większe; w XIII w. trzymały już po 6 łokci w kwadrat, przy tem malowano je starannie a najbliższe okolice odtwarzano ze względna już umiejętnością. Największe dwie *imagines*, jakie wydała północna Europa: Herefordzka w Anglii i Erbsterska w Lüneburgii, odznaczają się nawet bogactwem nomenklatury. Te późniejsze mapy, prócz Biblii, obrabiają Herodota, Pliniusza, Solinusa, a przedewszystkiem arcy-

mistrza baśni, towarzysza wypraw Alexandra Wielkiego Ktesiasza, ze współczesnych zaś Odoryka da Foro, Mandeville'a i t. d. Dobra mapa powinna była być modlitwą. Czem dla Greków Rodos, tem jest dla geografów średniowiecznych Jerozolima: znajduje się w niej środek świata. Palestyna rozpycha kraje sąsiednie — jest wielką, bo nie wolno jej być małą. Poznać ją można zdaleka po Chrystusie zmartwychwstającym z grobu — niezależnie od murów świątyni, krzyża, lub Golgoty.

Oznaczanie miejsc weale nieistniejących było głównym zadaniem geografii Azji głębokiej, w ogóle krańców ładu, nurzającego się w mgłach. Raj leżał na dalekim wschodzie, albo na górze wysokiej albo na wyspie lub półwyspie, i najczęściej otoczony był murem z ognia. Kraina Goga i Magoga leżała na wschód M. Kaspijskiego. Mieszkańcy jej jedni drugim wyrwali nogi i ręce i ssali krew. Jeszcze w XVII w. wierzone w tę dziecinną okropność. Ogrody Hesperyjskie leżały w południowo-zachodniej Afryce, a wejścia do nich bronił straszliwy smok. Na innym punkcie Afryki zaznaczali geografowie kamień, który głowie na nim położonej dawał widzenie przyszłości. W Azji, na wschód Morza Kaspijskiego, niedaleko od Goga i Magoga, ciągnęły się lasy Hyrkańskie, pełne ptaków świecących w nocy, a w pobliżu znajdował się źródło, w którym mężczyzna potrzebował się tylko wykąpać, aby się stać kobietą. Działo się to niewątpliwie za sprawą cheiwych władzy Amazonek, które właśnie w pobliżu, nieco ku północy, miały interessujące swoje państwo. Inni mieszcili je na Kaukazie. Inni znówu znali drugie podobne państwo, gdzie mężczyźni nie zabijano, ale trzymano w niewoli. Na krańcach Wschodu była kraina z kobietami, które umierały po skończeniu lat ośmiu, a w piątym już zostawały matkami. Znały te mapy średniowieczne i męskie potwory: gryfy, psie łby, satyry, fauny, stfinxy. Mnóstwo ich w Afryce; jeżdżą na krokodylach, idą w zawody z antylopami, wyciągają sobie wargi, jakby z gumy, zasłaniają się własnymi stopami od słońca. Inni znówu są tak delikatni, że im wystarcza do życia wąchanie jabłek, — zapach je żywi. Te i tym podobne baśni, rysowane i malowane, zabierają dla siebie lwia część geografii średniowiecznej. Spotykamy je na tak późnej a tak poważnej mapie, jaką jest katalońska z lat 1375—78, powstała głównie pod działaniem podróży włoskich, ale oparta jeszcze na Arabach. Są na niej wszystkie dziwy, jest obok raju i góra złota — nieśmiertelne marzenie człowieka. Są Gogi i Magogi, ale są także i Chiny i Japonia, i Indyje, które Marco Polo i Conti zwiedzili, a Ptolemeusz jeszcze rysował.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Głińskiego.

(Dalszy ciąg).

Pani Ernestyna, która już w nocnym negliżu spoczywała na miękkim usłanem łóżku, skoczyła na równe nogi.

— Ach, Florko! czyżby tak było?

— Napewno!

— Duszo złota — z kąd ty wiesz o tem?

— Z własnego doświadczenia; ja o wszystkim i o wszystkich sędzę tylko z własnego doświadczenia. Gdym poraz pierwszy otrzymała list od Filidora, który był poręcznikiem od *cheveaux legers* — zrazu ani jednego słowa zrozumieć nie mogłam. Nie pozwalał na to mój zbyt świeży stan wdowieński i pamięć o Prokopie. Po go-

dzinie jednak, raz, drugi list odczytawszy, spytałam siebie: co to takiego? Od tego zaś momentu, nie wiem, czy kwadrans upłynął, jak już powiedziałam: oho! Zrozumiałam wszystko i uspokoiłam się zupełnie. W miesiecy kilka stanęliśmy przed merem, w tydzień potem Francya wypowiedziała wojnę Prusakom, i ja, z nowym moim mężem rozstać się musiałam. Nie zobaczyliśmy się już... Mój Fili... Fili...

Smutno musiał skończyć, bo Florentyna przyłożyła chustkę do oczu i płakała cicho, lecz szczerze.

— Duszo złota! — zawołała Ernestyna, pulchnemi ramionami obejmując chudą szyję swej przyjaciółki... Ja miałam jednego tylko Stefa i — i pogodziłam się z przeznaczeniem.

— Zawsze pani straciła mniej odemnie... dwóch... w niespełna pół roku!..

Popłakały się niewiasty i już nie wszczynaly rozmowy o szambelanie. Florentyna modlić się zaczęła za duszę Prokopa i Filidora, prosząc Boga, by z nimi na lepszym świecie zobaczyć się jej pozwolił. Ernestyna zaczęła w myśli swej rozbiierać słowa przyjaciółki, tyżące się listów szambelana, i doszła do przekonania, że listy te właśnie wpłynęły tak kojąco na Zosię. Wyrównywały się więc bez jej udziału ścieżki mające wieść do głównego celu marzeń Pirskiego; grunt dla Dyzia, zdawało się, jest już dostatecznie przygotowany.

Nasuwały się jednak pewne pytania, których sama rozstrzygnąć pani Tirard wahała się, a mianowicie: czy miała o głębszych uczuciach szambelana wspomnieć Zosi, czy pozostawić to najbardziej interessowanej osobie?

Co począć?

Wyjeżdżając z Brzezina, Pirski w tej materii nie dał jej żadnej instrukcyi: spodziewał się, że Ernestyna zastanie Zosię niepokieszoną, rola więc p. Tirard ograniczała się na przygotowaniu Zosi do smutnej wiadomości o Żygumencie, który, oszalały i opętany wdziękami pięknej Natalii, wraz z nią opuścił Brzezina. Zadaniem Ernestyny było nadto namówić samotną mieszkankę Ogarówki do nawiedzenia Brzezina na czas dłuższy. Tam dopiero cudotwórczy wpływ szambelana dokonać miał reszty — zawczasie jednak ten wpływ się ujawnił.

Co teraz począć?

Przygotowała się do roli zupełnie innej; do nowej nie miała suflera. Bierny jej umysł, nie czując się zdolnym do żadnej inicjatywy — zakłopotał się nie mało.

— *Je suis deroutée!*.. — zawołała po pewnym wysiłku myśli.

Ale — od Trzech-Karczemi począwszy, aż do samego Brzezina, stali na koniach kozacy... kozacy szambelana, niecierpliwie oczekującego wieści z Ogarówki.

Z tak ułatwionej komunikacyi postanowiła pani Ernestyna skorzystać i niezwłocznie list wysłać.

Lecz tu nowa nastąpiła trudność.

Potrzeba było donieść szambelanowi mniej więcej coś stanowczego. Czy to nie za szybko, po paru godzinach widzenia się z Zosią?..

Więc poczekać dzień, dwa...

Bo! — drugiej połowy dykeyonarza nie wzięła z sobą.

— Choć zrób supelek i ciągnij! — szepnęła do siebie, nie mogąc nic poradzić z nasuwającymi się co chwila trudnościami. Bała się zarzeszyć pośpiechem lub opóźnieniem narazić się Dyziowi. Prawda, że Dyzio najmniejszym skrzywieniem ust niezadowolona-by swojego jej nie okazał — ubóstwiała go za tę delikatność — ale tem bardziej przezorną i przewidującą być powinna.

— Choć płacz! — zawołała w głos prawie, na łóżku siadając.

Czuła się po podróży zmęczoną, w powieki łaskotał ją sen, a tu sama sobie nie lada klin w głowę zabiła. Nie wiedząc co z tym fantem zrobić, wstała szybko, wzięła na nogi pantofelki i udała się po poradę do Florentyny.

Nowy kłopot — Florentyna już spała

— Budzić czy nie budzić?..

Pani Tirard wiedziała, jak to jest przykro pierwszemu senu przerywać.

Z lampą w lewej ręce, prawą przytrzymując uszy okrycie, przesunęła się cicho przez próg sąsiedniego pokoju i stanęła opodal od łóżka swej towarzyszk. Po paru minutach wahania się, chrząknęła lekko...

Ale wdowa po dwóch mężach nie słyszała chrząknięcia.

— Florentyno! — odezwała się cicho pani Ernestyna.

— Filidor! — szepnęła Florentyna przez sen.

— Duszo złota! — dodała nieco głośniejszą pani Tirard, nachylając się nad śpiącą, lecz osłaniając dłonią światło od lampy.

Florentyna otworzyła oczy i patrzyła przez chwilę zdziwiona.

— To ja — szepnęła pani, siadając na brzegu łóżka.

— Co to się stało?

— Nie, duszo moja! tylko, nie wiedząc sama jak postąpić w pewnym wypadku, przyszedłam po poradę do ciebie.

— Słucham panią — słucham!

— Przepraszam, że ciebie zbudziłam... ale...

— Cóż znówu! a — moja droga pani — ja zawsze do usług jestem gotowa — zawołała Florentyna, unosząc się na łóżku.

— Nie zrywaj się.

— Nie wypadaj!..

— Proszę cię, leż — leż!..

— Doprawdy, że mnie pani żenuje...

— Ach, duszo złota! — mówisz, jakbyśmy nie gawędziły tak z sobą nocami całymi w Quartier Latin... Nie pozwalałam ci opuszczać łóżka, przesiadywałam sama na jego brzeżku, i dobrze nam było.

— W Quartier Latin?..

— Mieliliśmy pokoje na piątym piętrze.

— A, naprzeciw studenta z margrabiną... brr!

— Prawda, że to okropne... Ale — dodała pani Tirard — byliśmy młodsze o lat dwadzieścia i z czemś...

Westchnęła.

— Wtedy właśnie poznałam Prokopa...

Westchnienie drugie odpowiedziało.

— Nie wspominaj tylko o Filidorze, duszo złota! bo rozplaczesz się i ja ci się nie wypowiem. Florentyna otarła łzy rękawem od koszuli.

— O co mnie pani pytać miała?

— Słuchaj, kochanie.

— Z całą uwagą, droga pani, z całą uwagą!

— Co mam robić, duszo złota! czy Dyziowi zaraz dać znać o usposobieniu, w jakim znalazłyśmy Zosię — czy poczekać dni parę?... Jak ty uważasz, duszo moja?

— Oczywiście, że poczekać.

— Masz-że ku temu dostateczną przyczynę?

— Czy nie mając jej, mogłabym tak stanowczo radzić pani?

— Mów, mów, duszo złota — słucham.

Florentyna chrząknęła i batystową chustką delikatnie nos utarła.

— Czasami — zaczęła — serca kobiet są tak dumne...

— Jak moje, na przykład — przerwała pani Ernestyna. — Wiesz przecie, że wolałam zamieszkiwać w Quartier Latin, niż wspomnieć o swej nędzy przed Dyziem nawet. I — wierz mi, duszo złota! że gdyby Dyzio nie zgłosił się sam do mnie, nigdy, ale to nigdy, nie odezwałabym się pierwsza.

— Widzi pani!

— Ale do czego zmierzasz, duszo moja?

— Do tego, że (choć nie twierdzę) pani Zofia mogła umyślnie przed nami się zataić.

— Tak sądzisz?

— Przypuszczam tylko.

— Więc?

— Więc jutro, pojutrze może, rzetelną dopiero odkrywamy prawdę...

— Nie pisać zatem nic teraz?

— Ani słówka.

— Dwa, trzy dni?

— Co najmniej.

— Dobrze, dobrze — duszo złota!.. Ale — jeszcze jedno. Jeżeli (bo o czem innym nawet myśleć nie chcę!) nie dojrzymy nic niepokojącego, czy mam jej szepnąć nieznacznie o uczuciach Dyzia?

— Co pani w tej materii pan szambelan powiedział?

— Właśnie, że nie!
 — Zatem nie mówić nie!
 — Ale Dyzio myślał, że Zosię okrutnie zmartwioną zastanę.
 — Tem lepiej, że zastałaś ją pani całkiem inną—i o tem tylko damy wiedzieć szambelanowi. Co zaś do spraw sercowych, to, nie mając od niego wyraźnego rozkazu—nie mieszać się! To moja rada! Bo—zastanówmy się.. Gdyby (broń Boże) nie udało się, pan Dyonizy posądziłby panią o niezręczność, i choć, jak zawsze, nie uczyniłby żadnej wymówki, mógłby uczuć, i uczulby niezawodnie, niemały żal do pani..
 Ernestyna drgnęła; słowa Florentyny przerażyły ją bardzo.
 Żal Dyzia—do niej?...
 Okropność!...
 Zaniechała więc odrazu wszelkiej myśli występowania w roli pośredniczki.
 — Ach! dziękuję ci, duszo złota—serdecznie dziękuję—zawołała z uniesieniem.
 Objęła Florentynę i pocałowała trzykrotnie.
 Teraz mogła spokojnie usnąć.

Nieoczekiwany i niekoniecznie pożądaný przyjazd kuzynki szambelana sam przez się był już dla Zosi złą wróżbą. W listach Pirskiego, prócz tkliwych wynurzeń i nieproszonych ubolewań, żadnego słówka rzetelnej pociechy nie było: zjawienie się więc niespodziewane pani Ernestyny nie mogło być niczem innym, jak tylko epilogiem smutnie rozpoczętej powieści. Lecz Zosia, wcześniej czy później, spodziewała się rozstrzygnięcia; przyszło ono w formie zaprosin do Brzezina, i rozwinęło wcześniej złudzenia, jakie pozostawały na dnie jej duszy.

Nie dla spotkania się z Zygmuntem zapraszał ją do siebie Pirski przez usta pani Ernestyny. Bolały go—jak twierdziła ta pani—opuszczenie i samotność Zosi i dlatego zapraszał ją do miejsca gdzie Zygmunt przebywał.

Nie potrzebowała wiedzieć nic nadto, by reszty się domyślić.

— Brzezin więc pusty—szepnęła, opierając się o biurko w swojej sypialni.

Powinna płakać—a jednak łez nie czuła na oczach.

To dziwnie!... dlaczego łzy nie płyną?

Spojrzała w zwierciadło—powieki miała suche. Ale są wielkie boleści, które nie mogą objawić się płaczem. Zna ona te chwile okropne! Coś wewnątrz tam krtań dławii, oczy łez proszą, a jednak łzy nie mogą z tajemniczych głębin wydobyć się i trysnąć strumieniem.

Czy i dzisiaj jest to samo?

Nie!

Nie targa nią ból żaden, tylko czuje w sercu przerażającą pustkę.

Ogarnął ją strach.

Dlaczego?

Że już odczuć cierpienia nie może...

Rozumie, że jest zapomnianą, opuszczoną, powtarza to sto razy, a jednak serce bije równo, spokojnie—okropnie spokojnie!

Przywołuje pamięcią wszystkie minione chwile, rozmyśla o nich, rozbiera uczucia swoje z taką martwością jakąś, jakby to nie była jej przeszłość, jej uczucia. Stawia przed sobą postać Zygmunta, przypomina niejedną godzinę, w której, zawieszona u szyi jego szukała ust, pocałunków—i...

Krótkie westchnienie wzruszyło jej pierś—nie nadto!

Jakaś zasłona coraz gęstsza, grubsza fałdami padała na umykającą w dal przeszłość; widziała za sobą mgły szare, a w duszy i sercu czuła próżnię i chłód lodowy.

— Nie!—zawołała w duchu.—To być nie może, ażeby we wnętrzu mojem już nie się nie odezwało. Nie śpię—czuwać—pojmuję!

Stała chwilę, chcąc zmusić się do łez i krzyku. Próżny wysiłek!

Wołane nie przychodzą łzy, nie wylata krzyk, gdy bólu niema.

— Brzezin pusty—szepnęła raz jeszcze, splatając do snu złociste warkocz swych włosów.

Zgasila lampę i do snu się układała.

Przed sennymi oczyma zaczęły się przesuwać jakieś kregi barwne i o dziwacznych kształtach postaci. Trącały się, wirowały, miały uśmiech na ustach, który nagle w grymas płaczu się zmieniał, rozszerzone policzki tych widm półsennych raptownie zwały się i znikwały szybko w jakiejś przestrzeni szarej, by znów się pojawić, lecz już o mniej wyraźnych rysach i konturach, jakby niedokończone czy wpółurwane. Po chwili gęsta mgła zasłoniła całe pole widzenia... żółto-błękitne krążki pękły, rozplynęły się cienie. Z szarego tła wyszedł Korabiec i sen ją ujął spokojny i głęboki.

Obudziła się nad ranem.

Ach! jak jej dobrze było, miękko, rozkosznie!... Czuła, że obudziła się z uśmiechem na ustach. Lecz oczu otwierać nie chciała—jeszcze całował je sen cichy, jak rosa poranna orzeźwiający sen! Przez cienie zasłony powiek czuła na swoich żrenicach ciepło, purpurowe światło; w słuch jej uderzył jakiś świergot wesoły i wołał do niej tysiącem głosów ptaszczych:

— Zbudź się! zbudź się! zbudź!...

Przeciagnęła ramiona.

Resztki snu wionęły gdzieś precz a powieki otworzyły się szeroko.

Zosia zdziwionemi oczyma spojrzała wokoło.

Cały pokój tonął w jasności, był zalany złotem blaskami wschodzącego słońca. Śnieg tajał raptownie i szeleszczącymi strumieniami spływał z dachu; wróble, na rozłożystej topoli konarach siedząc, świergotały na gwałt, aż klekotało od ich gwaru powietrze.

Rozkoszne światło! rozkoszne szezebiotanie ptaszków!

Zosia wyskoczyła z łóżka i zaczęła się szybko ubierać. Dawno się nie czuła tak rzeźwą, tak zdrową wiosennie. Serce jej biło żywiej, jakby zasilone zostało krwią nową; śliczne rumieńce miała na jagodach, a spokój w duszy. Zwierciadło powiedziało jej, że nawet szare cienie znikły spod oczu, że fioletki pojaśniały, a usta oddawała taką barwą koralu nie świeciły. Była dziwnie świeża i dziwnie piękna!

Mimowoli pomyślała o dniu wczorajszym.

Czyż tylko godzin kilkanaście oddziela ją od niego?

Nie!

Ona musiała tygodnie, miesiące przespać.

Tak jej dobrze—tak bardzo dobrze!

Błękitny szlafroczek, oszyty białymi koronkami, miłośnie jakoś otulał jej kibić urodną; malutki, poranny stroik z niebywałą oddawna kokieterią zdobił jej głowę i błękitnymi kwiatkami niezabudek płątał się w jej poźlocistych warkoczach.

Podbiegła do okna i małą otworzyła szybko. Owionęło ją powietrze ciepłe.

— Co to? wiosna?—zawołała w głos.

— Przepyszny dzień!—ktoś odpowiedział.

Zosia wychyliła się przez okno.

— Dzień dobry panu, panie Michale!—zawołała.

Wesołym, kilkakrotnym ruchem głowy witała Korabieca, odbywającego w godzinach porannych zwykłą przechadzkę.

Michał podszedł i zatrzymał się, nagle zdziwiony zmianą, jaką dostrzegł w całej postaci Zosi.

— Dzień dobry, panie Michale!—powtórzyła, wyciągając z uśmiechem rękę ku niemu.

Korabiec pochwycił podaną dłoń, ale oczu z zosinej twarzy nie zwrócił. Mówił teraz spojrzeniem to, czego ustami powiedzieć jej nie mógł.

— Czy pan mi nie odpowie?—spytała.

— Odpowiem, z małym dodatkiem nawet. Niech pani przez okienko nie wychyla się, bo przeziębicie się łatwo. Zatem—dzień dobry i—do widzenia!

— Nie, nie!—zawołała Zosia szybko—nie czuję zupełnie chłodu.

— Za lekko pani jesteś ubrana—dodał Korabiec.—Do widzenia! do widzenia!

— I cóż pan na tem wygrasz, że odejdziesz?—Ja okna nie przymknę i nie przestanę rozkoszować się powietrzem.

— A, w takim razie—zostaje!

Zosia uśmiechnęła się.

— Cóż to za zmiana nagle! Tak ciepło! tak słonecznie! Śnieg zupełnie do ziemi przyległ, na po-

lach już muszą śpiewać skowronki—mówiła Zosia, wodząc oczyma po niebie błękitnem.

— Dziś pierwszy raz zasłyszałem tego najwześniejszego śpiewaka wiosny—odpowiedział Korabiec.—Poczeiwe ptasze! Niech pierwszy, cieplejszy promień słońca błysnie, mały skrawek ziemi spod śniegu się ukaże—już śpiewa i śpiewa to niebożatko! A wróble? czy uważa pani, jaki gwałt podniosły?

Zosia spojrzała na gałęzie drzewa, które osiane były małymi kulkami świergocących ptaszków.

— Ćwrik, ćwrik.—odezwała się.—Poczekajcie, wróble! wkrótce i ja pomagać wam będę!

Zaśmiała się srebrzyście.

Michał chwycił jej rękę i gwałtownie z jakimś szaleństwem bezpamiętnym do ust swych przycisnął.

Zosia wyrwała ją szybko, ale z ust nie spędziła uśmiechu.

— Panie Michale!—szepnęła.

Korabiec drżał.

— Czekam dziś pana u siebie—tylko wcześniej, wcześniej, niż zwykle—skowronkowym odezwała się głosem.

Mała szybka przymknęła się—Zosia zadzwoniła na Hanke i spytała: czy panie wstały?

— Ubierają się—odpowiedziała dziewczyna—ale nie wiem, czy dzisiaj ubiorą się.

— A to dlaczego?

— Bo gadają tak, że aż strach!

— Przygotuj w salonie do kawy i poproś panie.

Podbiegła do zwierciadła—uśmiechnęła się i powitała w niem siebie ukłonem długim.

— A, doprawdy! nie godzi się być tak wesołą, jak dziś jestem—szepnęła.

Wpatrzyła się przed siebie.

— Nie chcieli Zosi. Ha!... sami sobie winni, że coś tam w jej sercu umarło!—odpowiedziała myślom własnym.

W oczach błysnęły łzy, cień smutku przez usta jej przebiegł—i zniknął.

Korabieczowi zakręcił się świat kołowrotem—zabrakło tehu. Wsparł się o pień drzewa i czuł, że mu coś rozsadzało pierś i serce.

— Nie powiedziałem jeszcze jej—kocham!—szepnął po chwili do siebie.—Bałem się tego wyrazu, który mógłby być strasznym, jak fatum. Ale—dzisiaj, jutro on z ust mych padnie. Wtedy, panie Zygmuncie i ty, panie Pirski, zobaczycie jak lew broni zdobyczy swojej!

Wyraz oczu, ust i potężne pięści ściśnięcie mówiły o groźbie nie na wiatr rzucanej.

Tymczasem w salonie Zosia oczekiwała na gości. Świeży powiew wiatru, który ją owiał podczas rozmowy z Korabieciem, zaróżowił jej policzki, uśmiechała się do siebie, czuła jakieś rozbudzenie się serca, rodzące się w niem życie nowe.

Ujrawszy ją taką, pani Ernestyna nie mogła wyjść ze zdziwienia. Oczywiście, że niespodzianą tę zmianę przypisała wizycie swojej jako dalszy ciąg zwyciężkich szambelana listów. Jak na to, Zosia, nie wiedząc jak bawić mało znajome sobie panie, pamiętając zresztą, że zadaniem jest gospodyni uprzyjemniać czas swym gościom, zaczęła je wypytywać o szambelana, o Sirodina cukierki, słowem o to wszystko, czego najmniej nasze domy, które, jako pocieszycielki wybrały się do niej, spodziewać się dziś mogły. Niewymuszona wesołość wątpliwości żadnej podlegać nie mogła; wypytywanie zaś o szacowne zdrowie pana Dyonizego, mówiące wyraźnie o zajęciu się osobą szambelana, który bądź co bądź zbyt wyraźnie uczuć swych, dla łatwych do odgadnięcia powodów, nie wyjawiał, wprowadziła panią Tirard i Florentynę w niemałe zdumienie. Że Zosia mogła oswoić się ze swym przeznaczeniem i dojść do pewnej moralnej równowagi—to nie dziwiłoby ich wcale, lecz—według mniemania Ernestyny i jej towarzyszek—ona naprawdę zajęta jest Dyziem. Tego nie przypuszczał szambelan nawet, który dopiero po przyjeździe Zosi do Brzezina pracować miał nad tem. To też gdy młoda gospodyni wyszła na chwilę z pokoju, obie panie zwróciły się jednocześnie do siebie.

— No?—odezwała się Florentyna.

— Jestem ostatecznie zdecydowana!—rozkładając ręce, zawołała pani Tirard.

Wtem Zosia weszła do salonu.

— O czem to panie mówią?—spytała.

— Zachwycamy się tobą, duszo złota!
— A ja dniem dzisiejszym.
— No?—znów rzekła Florentyna, zwracając się do pani Tirard.

Kuchynka Pirskego nie posiadała się z radości.
— Prześliczny jest, prawdziwy wiosenny!—ciągnęła Zosia.—Tylko patrzeć jak nabrzmieją pączki drzew i zielone listki wystrzela.

— Ach! gdybyś ty widziała teraz oranżeryą Dyzia—odezwiała się pani Ernestyna—byłoby o czym mówić.

— Dużo tam kwiatów już musi kwitnąć.
— Jak w zaczarowanym ogrodzie!... Dyzio czeka tylko, by „królewska kamelia” rozwinęła się—i wspaniały bukiet ma ci przysłać.

Zosia zaśmiała się.
— Ma przysłać!—rzuciła.
— Wolałabyś, żeby przysłał—prawda?—spytała pani Ernestyna z uśmiechem.

— Ma się rozumieć—odezwiała się Zosia.—W Brzezynie nie brak kwiatów—trujących nawet! Pani Tirard zwrotu tego nie rozumiała.

— W tak ogromnej cieplarni muszą być rozmaite—rzekła.—Ale Dyzio takich ci nie przysła.

— Pan szambelan ma złote serce!—rzuciła Zosia.

— Ach, duszo moja—brylantowe!
— Niechże go czasem nie zgubi, bo dziś wspaniałomyślnie znalezionych nie oddają brylantów.

— Ale on tego nie zechce nawet, duszo moja—nie zechce!—wykrzyknęła pani Ernestyna, rozumiejąca wszystko po-swojemu.

— Pan szambelan jest tak hojny?—spytała Zosia z uśmiechem.

— Ach, duszo złota—ty nie spodziewasz się może jaki on pyszny kwiat dla ciebie przygotował!

— Zdaje się, że najwspanialszym, jakim mnie tylko mógł obdarzyć—już otrzymałam.

Pani Tirard poruszyła się na krześle, jakby miała zamiar rzucić się w objęcia mówiącej, lecz Florentyna stanowczym ruchem głowy i ramion wstrzymała ją od przedwczesnych wynurzeń.

Zosia bawiła się rozmową, czasami ostry rzuciła sarkazm, ale pani Tirard nie pojmowała znaczenia jego. Zaszlepięta w miłości swojej do Dyzia, brała wszystko za dobrą monetę i nieraz jeden z niepotrzebnym-by się słówkiem wyrwała, gdyby nie hamowała jej zapędów Florentyna lekkiem targnięciem za rękaw.

Na grze wyrazów i zobopólnem niezrozumieniu się pół dnia przeszło. Zosia nie wypowiadała zbyt wyraźnie swych uczuć, jakie dla szambelana żywiła, tembardziej, że ślepa, z zaparciem się siebie miłość ku niemu Ernestyny coś pociągającego w sobie miała. Kochała go—Pirski odplacał jej szczerem przywiązaniem; Zosia za dobrą była, by dotknąć jej mogła ułkościem szambelana. Zresztą cóż on winien? Nie dlatego porzucił Paryż, by zostać stróżem Zygmunta. Al! nawet nie chciałyby takiej miłości, której pilnować potrzeba; zamiary zaś względem niej samej, ni gra podstępny Pirskego, znane jej nie były. Miała wprawdzie do niego żal, nie mogłaby go jednak ująć w żadne stałe formy: było to raczej przecucie winy, niż tej winy świadomość. To też, gdy podczas rozmowy z Ernestyną nieogłędne czasem wypadło słówko—wynagradzała je wnet setką innych, które pani Ernestyna otwierała niebieskie podwoje.

W parę godzin po obiedzie przyszedł Korabiec. Florentyna przywitała go sztywnie, pani Tirard ledwie głową skinęła. Zosia za to podbiegła szybko i obie mu dłonie podała, słodkim uśmiechem, słodsze obdarzając spojrzeniem.

— Duszo złota!—szepnęła jej Ernestyna, gdy przypadkowo na uboczu się znalazły.—Dlaczego ty przyjmujesz tego Korabieca i jeszcze tak go witasz uprzejmie?

Zosia spojrzała na mówiącą.
— Nie rozumiem co pani chcesz przez to powiedzieć?—odezwiała się.

— Dlaczego ty tego Korabieca przyjmujesz?
— Bo lubię pana Michała.
— Ale—Dyzio nie lubi!...

Zosia zwróciła się szybko do pani Tirard.
— A cóż mnie Dyzio może obchodzić?—rzuciła. Pod panią Ernestyną zachwiały się kolana.
— Co... Dyzio... obchodzić?—szepnęła.

— Tak!

Słowa Zosi równały się pchnięciom sztyletu. Nie spuszczała oczu z twarzy Ernestyny, która bladła, to czerwieniała, objawiając niepokój i trwożę dziwną.

Przez czoło Zosi przemknęła myśl jakaś. Patrzyły chwilę. Zrozumiały się.

Pani Tirard była bliska omdlenia—Florentyna w sam czas jej z pomocą przysła.

— Teraz to już ja nie, nie nie rozumiem—szepnęła biedna niewiasta prawie przez łzy.

— Ja pani wytłomaczę—tylko cicho, na Boga! Gdy znalazły się sam na sam, Ernestyna z płaczem na fotel się rzuciła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

DROBIAZGI

Bolesława Prusa (Alexandra Głowackiego).

Pod tym tytułem ukazały się w handlu księgarskim wydane w osobnej książce, a drukowane dawniej w różnych czasopismach, pełne humoru szkice i obrazki jednego z najpopularniejszych beletrystów naszych. Są to w istocie, z bardzo nielicznymi wyjątkami, drobiazgi tylko pod względem treści, ale zaprawione sporą dozą prawdziwego humoru w swoim rodzaju, stanowiącym wyłączną cechę talentu Prusa, który z przedziwną zręcznością umie podpatrzeć rozmaite śmieszności i słabostki natury ludzkiej i zarysować je przed oczyma czytelnika w oświetleniu właściwym sobie tylko.

Oto w szkicu p. t. *Ogród Saski* widzimy poważną matronę, żonę właściciela ziemskiego, po raz pierwszy w życiu przechadzającą się z córką i synkiem małym po Ogrodzie Saskim i natrafiającą co krok na rozmaite przygody komiczne, dzięki swej prostocie wiejskiej i nieświadomości obyczajów wielkiego miasta.

W utworze p. t. *Kłopoty redaktora* autor dał nam próbkę codziennego trybu życia przeciętnego wydawcy i redaktora, będącego w nieustannych kłopotach pieniężnych. Tacy redaktorowie, nie sięgający głęboko myślami i piszący w nieopalanym pokoju redakcyjnym bylejakie artykuły dla zapełnienia numeru, niewątpliwie sportretowani są z natury, aczkolwiek typ ten autor ujął bardzo lekko bez staranniejszego wykończenia; natomiast rażąca jest, wskutek nieprawdopodobieństwa, postać żyda lichwiarza, który nie tylko obiecuje zafrasowanemu redaktorowi prolongować wypłatę 120 rs., ale jeszcze daje mu 50 na wydanie następnego numeru gazety, byleby w niej wydrukowane były wiersze jego z wypisanem u spodu imieniem i nazwiskiem. Trudno sobie wyobrazić żyda lichwiarza, któryby zabawiał się pisaniem wierszy i tak wysoko cenił sobie sławę literacką, iżby płacił jeszcze za wydrukowanie swoich produkeji poetyckich.

W obrazku *Na Saskiej kępie* papinkowaty młodzieniec Karol, typ warszawskiego szlifubruka, konkuruje o rękę bogatej jedynaczki, mając lekceważonego wprawdzie przez siebie, atoli bardzo niebezpiecznego rywala w osobie bladego Adolfa, który zdołał pozyskać sympatya panny. Karol żywi ku niemu naturalną nienawiść i korzysta z okazji, aby mu figla jakiego wypłatać i tem ośmieszyć go w oczach swej ukochanej. To też gdy razu pewnego cała jej rodzina wybrała się w święto na Saską Kępę, niefortunny adorator, ujrzawszy śpiącego w krzakach Adolfa, wpadł na myśl wrzucenia mu butów w błoto; przez ten postępek zraził ostatecznie pannę do siebie i otrzymał formalną odmowę.

Taką samą ulotną, nieobfitującą bynajmniej w głębsze myśli i treścią, odznaczają się niemal wszystkie utwory w tym zbiorze. W *Konkursie żniwiarek* widzimy opasłego szlachcica, który z okolic 40 mil odległych przyjechał na konkurs żniwiarek po to tylko, aby cały czas popisu przespać w zbożu na polu. W *Panu Wesółowskim i jego kiju* mamy cały szereg komicznych przygód przeciętnego filistra warszawskiego, w *Doktorze filozofii na prowincyi*, szkicu, przypominającym poniekąd humoreskę Wilkońskiego: *Kraszewski w Warszawie*—typy pseudo-inteligencji małego miasteczka, do którego nagle zawitał doktor filozofii i t. d.

Są to wszystko błahostki, nienacechowane żadną poważniejszą myślą, pisane dorywczo, a wyróżniające się z masy podobnych produkeji jedynie tylko humorem, który, tryskając obficie z każdej niemal strony, stanowi dla przeciętnego czytelnika niemłą zachętę do czytania. Wyżej ponad inne postawilibyśmy tylko: *Wigilię, wieś i miasto*, *Wystawę* i dalszy ciąg jej: *Poco przyjechał*.

W pierwszym z tych obrazków przesuwają się, jak w kalejdoskopie, przed naszymi oczyma epizody w wieczór wigilii Bożego Narodzenia wśród rozmaitych stanów i warstw społecznych. Z pysznie przyozdobionego salonu, gdzie maż pozostawia samotną żonę młodą, zamierzając, pomimo jej wymówek, przepędzić wigilię w wesołym gronku poza domem, wchodzimy do ubożego mieszkanka rodziny rzemieślniczej, wesoło przy wspólnym stole dzielącej się niewykwiłtnymi bynajmniej potrawami; ztamtąd dostajemy się na strych, gdzie mieszka ubogi samotnik, któremu stróż pijany, tknięty litością, przynosi trochę kapusty z rybą; a był przecie czas, gdy ów umierający na suchoty człowiek zasiadał w gronie rodzinnem do wystawnej kolacyi wigilijnej. W dalszym ciągu widzimy w suterrenie kilkoro zgłodniałych dzieci wyrobnika, których matka od rana klóci się z sąsiadką, a ojciec siedzi w cyrkule za kradzież; na zakończenie zaś tych obrazków wigilijnych wprowadza nas autor do apteki, gdzie ufrizowany prowizor wiedzie w najkomiczniejszy sposób odmalowaną rozmowę miłosną z panną Maryą, żądającą najprościej w świecie stoika pomady, i w końcu, ku strasznej rozpaczy młodzieńca, odjeżdżającą na wigilijną kolacyę z innym admiratorem swych wdzięków. Ów ostatni obrazek jest niejako przeciwstawieniem tej istotnej strasznej nędzy materjalnej, którą nam autor ukazał w suterrenie i na poddaszu, i dlatego po rozpaczliwym monologu zawiadzonego prowizora zapytuje Prus ironicznie: „Czemże jest samo nieszczęście gminu wobec świadomości swego nieszczęścia, jaką posiadają natury wyższe?”

W szkicu p. t. *Wież i miasto* potrafił Prus zlekka to, co już dał nam w ramach obszernych w powieści swej p. t. *Placówka*, t. j. potrafił kwestya utrzymywania stanowiska wobec falangi kolonistów niemieckich. Państwo Letkiewiczowie ciąglem przesiadywaniem zagranicą i życiem wystawnem nad stan stracili całą ojcowiznę; na ostatnim ich majątku ziemskim ciążyły ogromne długi, które ponabylał von Oshuster, agent kolonizacyjnej spółki berlińskiej, w nadziei utrzymania się przy licytacji. Do walki z Oshustrem stanęła spółka miejscowa, złożona z obywatela Zabickiego, zaaklimatyzowanego Niemca piwowara Sonabenda i uczciwego żyda Szai: wobec nich agent berliński musiał ustąpić.

W *Wystawie* i *Poco przyjechał* mamy lekko zarysowane wizerunki kilku szlachciców, przybyłych na wystawę do Warszawy; z nich najbardziej oryginalną, niezmiernie wśród obywateli wiejskich rzadką, a najsubtelniej przez autora wykonaną jest postać pana Mateusza, skąpca i, co ciekawsza, lichwiarza, który jedynie poto do Warszawy przyjechał, aby na ogromne procenta pożyczać niebacznie tracącym pieniądze sąsiadom. Obok Mateusza uwydatniają się: bardziej typowy, lekko-myślny i zawsze pełny świetnych nadziei szlachcic pan Marek, raczej dbający o obfite i dobre obiady warszawskie, niż o samą wystawę; pan Władysław, wyobrażający dodatni typ szlachcica wykształconego; nareszcie oszczędny i zamożny pan Antoni, oraz Leon, syn zamożnego obywatela, utracusz, zaciągający chętnie długi za przykła-

dem starszych sąsiadów. Widok takiej galeryjki naszych właścicieli ziemskich smutne, zaiste, sprawia wrażenie, tem smutniejsze, gdy zważymy, że w ich charakterystyce autor nie zgoła nie przesadził.

Takimi są „drobiazgi“ Prasa. Postaci w nich występujące przeważnie wzięte są z tego szarego tłumu ludzi, którzy są jeno—okrągłym zerem. Nie sięgając głęboko myślami, żyją oni z dnia na dzień, zamknięci w obrębie bardzo ciasnych pojęć, czem wywołują, jak zresztą widok każdej nicości, pewne uczucie niesmaku, którego nawet humor autora zmniejszyć nie potrafi.

J. Nitowski.

Nad rzeką Ś-go Wawrzyńca.

(Dokończenie).

Kościół wznosi się zwykle w pośrodku placu, który w każdą niedzielę i święto zapelnia się niezliczoną ilością wózków, zaprzężonych po większej części parą dobrych koni. Ci, których przywiozły, tworzą wesołe, ożywione grupy w świątecznym odzieniu; sąsiedzi, przyjaciele, kumy, kumowie, witają się, rozmawiają, a jest tu zwykle i mnóstwo dzieci, bo tego błogosławieństwa bożego nie brakuje w wioskach kanadyjskich, i razem przedstawia to widok niezmiernie ożywiony, podobny do kiernaszu, jarmarku jakiegoś, bo też załatwia się tu niejedna sprawa kupna i sprzedaży, gdy kumoszki ze swojej strony bawią się w swaty. Dziewczęta płoną rumieńcami pod spojrzeniem młodzieży i przedstawia to razem obraz bardzo ożywiony i wesoły, jakkolwiek kobiety zameżne odziewają się tu ciemno i bardzo skromnie. Na głowach noszą wielkie czepce, lub kapelusze słomiane; za to wszystkie dziewczęta są w bieli i każda z kwiatkiem, ze wstęgą u warkoczy, a są przytem bardzo ładne, zręczne i wesołe, ale ta ich uroda przemija bardzo prędko. Wczesnie bardzo nabierają tuszy tak, jak i we Francji, wyglądają też ciężko i tracą powab, posiadany w młodości. Mężczyźni są niemal ogólnie niskiego wzrostu, ale dobrze zbudowani, silni i zręczni, żywi bardzo, weseli, ruchliwi niezmiernie. Mówią prędko, śmieją się, gestykulują żywo, w czem przypominają lud francuzki, przecież niejednego zdradza inne pochodzenie. Ciemna pleć, wystające kości policzkowe, twarde, stojące do góry włosy czarne, wskazują pochodzenie nie francuzkie.

Mieszkańcy to są z krwią indyjską w żyłach. Dla ciemno-czerwonawego koloru ich skóry zwą ich tu „bois brulés“ i ubiór też wykazuje różnicę. Wieśniak, będący potomkiem emigrantów francuzkich, zachował swój typ, ubiera się też zupełnie taksamo, jak ludność wiosek Normandy i Bretonii przed dwoma wiekami: w czapki wysokie, krutkie kurtki obeiste. Obok tego Kanadyjczyk właściwy, to jest najstarszego osiedlenia, w długiej, zapiętej sukmance, przewiązuje się pasem, którego koniec zwieszają mu się z lewego boku; do tego nosi futrzaną, barankową czapkę na głowie i wysokie buty, w cholewy których wpuszcza spodnie, jak nasz wieśniak. Nakoniec Kanadyjczyk nowoczesny nosi się miejską modą, w czarnym surducie, w czarnych spodniach i wysokim mieszczanśkim kapeluszu — trzy historyczne typy zaludnienia Kanady.

Wszystko to rozmawia, załatwia między sobą najrozmaitsze interesa, aż nakoniec sługa kościelny z czerwoną szarfą przez ramię, ukazuje się na kamiennych wschodach wiodących do podwoi kościoła i ogłasza, że ksiądz wyjdzie wkrótce ze mszą, a cały ten tłum różnobarwny, zagadany, zajęty, zwraca się natychmiast w stronę podwoi kościelnych, pobożnie macza palce w kropielnicy

i żegnając się, wchodzi do świątyni, gdzie z największym uszanowaniem i skupieniem ducha słucha mszy i kazania, które podróżnika, przybywającego z Europy uderzyłoby tą osobliwością, że kaznodzieja wygłasza je tym językiem galickim Bretonii i Normandy, jakim lud owych prowincji i dziś jeszcze mówi po wioskach, zwłaszcza leżących w głębi kraju, zdala od szlaków kolei żelaznych. Zachowali go i ci wychodzący dwa wieki już przeniesieni na inną półkulę ziemi, i kapłani odzywają się też do niego tą mową starą, a kazania te wywierają wielki wpływ na pracownika, uczciwą w ogóle ludność, która widzi w księdzu naturalnego swego przewodnika i przełożonego. Kler tutejszy poczuwa się też do tych obowiązków; jest doradcą dorosłych, jest nauczycielem dzieci i w całym znaczeniu tego wyrazu robotnikiem w winnicy pańskiej. Wieśniak kanadyjski przechował całą żywość wyobraźni celtyckiego swego pochodzenia: wierzy w czary, uroki, wierzy w dyabła, w siłę mocy tajemniczych, zaklęć, urzeczeń i ksiądz musi bez końca święcić, błogosławić, odżegnywać złe. Zasiwy błogosławi się tu co rok. W dzień Ś-go Marka odbywa się nie tylko taka processya, jak u nas, udzielająca błogosławieństwa polom i łanom zasiewów, tu każdy z gospodarzy przynosi do kościoła garść zboża, sypie je do urny, przeznaczonej na to, nad którą ksiądz odmawia modlitwę kreśli w powietrzu znak krzyża, poczem każdy z uczestników obrzędu bierze swoje garść pobłogosławionego ziarna, sypie w woreczek z białego, nowego płótna i wróciwszy do domu miesza je ze zbożem na zasiew przeznaczonem.

Całe życie kanadyjskiego ludu skupia się koło kościoła. Po nabożeństwie sługa kościelny wywołuje ogłoszenia, zastępując w tem dzienniki, donosi o zgubionych lub znalezionych przez kogoś rzeczach, ogłasza o przedmiotach przeznaczonych na sprzedaż. Lud też pobożny przykładą wagę do tego tylko, co tu usłyszy, a bawi się i ucztuje jedynie w święta. Oszczędny z natury, wtedy tylko przyjemności jakichś używa, je mięso, popija wódką i jabłecznikiem, cały tydzień żyjąc wyłącznie jarzynami, chlebem, serem i mlekiem, rybą schwytaną na wędkę w strumieniu pobliskim. Tytuł uprawia sobie w ogrodach, cukier wydobywa z soku drzew rozmaitych: brzozy, sykomorów i jedynie herbatę kupuje, którą lubi bardzo i pija jej dość, w święta zwłaszcza; wieśniak kanadyjski nie czuje się przecież bynajmniej upośledzonym od losu; oszczędny bardzo, chowa zaraz grosz zyskany w starą pończochę żony, bo żadnym finansowym obrotem nie wierzy, i pracy swojej ufa jedynie, na czem źle nie wychodzi.

W ogóle jest to istnienie niewypowiedzianie proste, a szczęśliwe, z powodu, że nie budzi żadnych żądz, niemających przed sobą nadziei urzeczywistnienia, a przecież nie można nazwać go poziomem, ponieważ przewodniczą mu ideały szlachetne. Zachowawczość ogromna nie jest tu bynajmniej zastojem, bo nie jest apatią bezmyślną: staranie to gorliwe utrzymania się przy rzeczy drogiej sobie, i jak inni wytyżają siły, aby coś garnąć, coś nowego sobie zdobywać, tak tu wywarcie siły idzie w kierunku odwrotnym, ale wywarcie to istnieje niemniej, więc ludzie nie zapadają w letarg bezmyślności, bezuczucia. Żyją zatem daną człowiekowi mocą serca i umysłu; w prostocie ogromnej obyczajów i zwyczajów pełnią to wszystko, co każe duch boży. Posiadają i pewną literaturę, posiadają i sztukę swoją rodzimą. Rzeźby ich w drzewie, poświęcone wyłącznie przedmiotom na użytek kościelny lub pobożny, mają nieraz taką wartość artystyczną, że gdyby ich twórcy przeszli byli przez szkołę, odpowiednio kształcącą, wyrósłby niewątpliwie zpośród nich niejednen talent głośny, ale ten, który tu przewodniczy, król tej krainy — król prawdziwy, bo rządzi i otrzymuje posłuszeństwo, snadź tego nie chce, skoro tak nie jest.

Jak niegdyś w Sparcie, pragnie on zagwarantować samoistność Kanady — jej francuzkość, przez zachowawczość, a postać to godna poznania. Urodzony w chacie wieśniaczej, Franciszek Labelle, proboszcz jednej z parafii kraju wewnętrznych, przedstawia postać szczególnie charakterystyczną i według zdania podróżników jedną w swoim rodzaju. Mógł on być przez szacunek, przez wziętość posiadaną, zostać już dawno biskupem, ale nie chce, bo przy kapłańskich obowiązkach tej godności, musiałby złożyć berło swojej królewskości, co byłoby z wielką szkodą dla ludu, którym dziś włada, sprawując i świeckie jego interesa. Kanada zaczęła cierpieć na przeludnienie; ziemia pól ornych, podzielona ogromnie, z trudnością mogła wyżywić jej ludność, i musiałaby przyjść z konieczności chwila emigrowania do Stanów Zjednoczonych, więc pierwszy moment tej rozsyпки, która stałaby się początkiem końca, bo początkiem takiego zmieszania się ludności tutejszej z ludnością ogólną Ameryki, że samoistność Kanady, jako takiej, musiałaby zniknąć. On tego nie chciał właśnie; francuzkość jej, szczepową odrębność ludu tutejszego, pragnął usilnie zachować. Jak Mojżesz przez uderzenie laską w ziemię wyprowadził z niej wodę, aby lud, który wiodł za sobą, mógł ugasić pragnienie, pod którym konał, tak on zapragnął rozszerzyć ziemię, której poczynało brakować, — zdobyć lesiste puszcze, zamykające od strony północo-wschodu krainę zamieszkałą; zdobyć siłą pracy, siłą trudów, które zdawały się murzeniem gorączkowym, obszary zarosłe borami pierwotnymi. Aż dotąd mieszkał tu jedynie zwierz dziki i koczowały wśród polan rzadkich, nieobszernych, plemiona czerwonoskórych tuziemców. Ziemia była przytem tak przerosła potężnymi korzeniami, że myśl wzruszenia jej pługiem zdawała się utopią.

Jakie woły pług taki ciągnąć mogą, jaka socha ziemię tę krajać zdola? — On jednak sobie powiedział, że to wszystko być musi, bo inaczej ludność której przewodniczył, zginęłaby w rozproszaniu, zatraciłaby swoją rodowość odrębną. Kanada francuzka już i tak wysłała pół miliona ludności swojej poza granice kraju. Dotychczas jeszcze ludność ta ciąży do środka swego, ale z czasem musiałoby to uleść zmianie, gdy starsi pomrą, w pamięci młodszych zatrać się wspomnienia odległej przeszłości. Postanowił więc za cenę jakiegobądź pracy zapobiedz temu i nad zatoką rzeki Hudson, nad Hudson-bay, zakładać osady, tworzyć wioski. I stało się to wkrótce rzeczywistością: zagrzal ludzi do pracy, w sercach rozmuchał; pracy tej podjętą — tchnął na tłum ducha swego siłą i wskroś lasów przecięte zostały linie komunikacji, a w ślad za tem powstawały osady, wsie, licznie zaludnione, które połączyły się kolejną żelazną, przeprowadzoną przez pustynie, a których twórcą był on Labelle. Ludność się rozradza, w starych prowincjach Kanady coraz jej ciśnieć, i ztąd odwieczne lasy zaludniają się coraz bardziej, a on „Le roi du nord“, jak mówią tam, a nawet piszą o nim, nie ustaje w pracy swej błogosławionej. Z krzyżem w ręku jest wszędzie, przez dzielnego ducha siłą podtrzymywany, radzi, naucza, przemawia do serc, można powiedzieć, że do kobiet szczególnie się zwraca, okazując największe uszanowanie tym, które mają najwięcej dzieci. Wśród sławnych kazań jego trzymają pierwsze miejsce jedno, z tekstem z Pisma Świętego „Otrzymałam człowieka przez Boga“...

Sto trzydzieści lat temu, to jest w czasie gdy Nowa Francja przechodziła pod panowanie Anglii, Kanada liczyła 60 tysięcy ludności francuzkiej. Obecnie jest jej w Kanadzie francuzkiej pół miliona, drugie pół miliona wyszło do Stanów Zjednoczonych i rozsypało się po Stanach różnych, nie przestając przecież ciężać sercem i umysłem do krainy rodzinnej, gdzie obecnie przyplw ludności z Francji ustał zupełnie, Algierja bowiem zabiera ją sobie przeważnie. Kanada francuzka utrzymuje jednak odrębność swoją wśród fal różnorodnego wychodźstwa, które płynie z Europy do Ameryki, z zadziwiającą, wzruszającą wytrwałością. Dla tego-to i tryb życia, sposób prowadzenia gospodarstwa nie zmienił się tu w niczem, zboże żnie się po-staremu sierpem, po-staremu orze się ziemię pługiem dawnym, sochą. Budynki gospodarskie, stawiane z drzewa, mają dachy słomą kryte, a gdy na okólnik gospodarski wjedzie wóz, snopków pełen, lub wonnego, staroświeckiego kosą koszonego siana, ktoś z nad powiśła mógłby marzyć, że jest w jakiej Woli lub Wolce i zawołać: — Jak się macie, kumie?..

Cechą starych wsi Nowej Francji jest mnóstwo hodowanych tam gołębi, które stadami kręca nad folwarkami, przypominając również europejskie sioła.

.....

Z bieżącej chwili.

— W zimie bieżącego roku odbędzie się w Petersburgu międzynarodowa wystawa przyrządów fizycznych.

— Koszt skanalizowania Moskwy obliczonym został na siedemnaście milionów rubli. Sieć kanalizacyjna obejmie 589 kilometrów.

— W Krymie spodziewany jest wielki urodzaj winogron.

— Wystawa nasion, roślin gospodarskich, produktów nabiałowych i tym podobnych przedmiotów gospodarstwa wiejskiego otwarta zostanie w mieście naszym d. 15-go Listopada r. b. z trwaniem do d. 25-go. Deklaracje nadsyłać należy po d. 15-ty Października; przedmioty zadeklarowane powinny być dostawione na miejsce najpóźniej d. 13-go Listopada.

— W Wilnie odbędzie się we Wrześniu wystawa rolniczo-przemysłowa. Wielki przemysł dopuszczonym będzie do konkursu.

— Wystawa czeskiego podróżnika po Afryce Południowej, Dra Holuba, ma być urządzona w mieście naszym w Październiku. Obecnie zbiory, które stanowią ją mają, znajdują się w Pradze, w pałacu przemysłowym; w roku zeszłym oglądać je było można na wystawie.

— W szkole rzemieślniczej imienia Konarskiego na Nowem Mieście otwarta jest wystawa wyrobów rzemieślniczych wykonanych w ciągu roku szkolnego przez uczniów tego zakładu. Szkoła ta mieści tylko trzy warsztaty rzemieślnicze: stolarski, ślusarski i kowalski, założone w roku ubiegłym. W roku bieżącym ma przybyć warsztat tokarski. Publiczność może zwiedzać wystawę od g. 10 do 1 po południu.

— W zakładzie sierot imienia ś. p. Stanisława Jachowicza znajduje się obecnie 167 wychowalców, z których dziesięciu uczy się ogrodnictwa na kolonii Drewnica pod Warszawą. Naucza wykwalifikowany ogrodnik. W osadzie Wąwolnica, założono Praktyczną Szkołę Ogrodnictwa i Pszczelnictwa. Uczniowie liczący nie mniej, nie więcej niż lat piętnaście będą przyjmowani do szkoły, poczynając od 1 Kwietnia. W szkole ogrodniczej p. Zawady w Częstochowie jest przeszło 50 uczniów.

— Redaktor „Gazety Świątecznej” p. Konrad Prószyński, używający pseudonimu „Promyk”, otrzymał za pośrednictwem redakcji „Kuryera Warszawskiego”, z Londynu przesłany sobie list p. Alexandra Staniewicza, z prośbą o przesłanie mu dwóch egzemplarzy dziełka p. Prószyńskiego „Obrazowa nauka czytania i pisanie”, wydanego w Warszawie w 1887 r. Piszący nie znał osobiście, ani nawet z nazwiska rodzowego p. K. Prószyńskiego, dowiedział się o nim jedynie z czasopisma angielskiego, gazety pedagogicznej, a to z powodu zamieszczonego tam artykułu, którego dosłowny przekład brzmi: „Pewne grono nauczycieli naszych powzięło zamiar zbadania wszystkich metod nauki czytania i pisanie. W tym celu zgromadziło bi-

bliotekę złożoną z 500 blisko druków we wszystkich językach cywilizowanych. Po sumiennem zbadaniu tego całego zbioru dano pierwszeństwo metodzie polskiej Kazimierza Promyka, (tytuł książki: Obrazowa nauka czytania i pisanie.... Warszawa 1887 r.), jako wiodącej do zamierzonego celu drogą najprostszą, oraz rozwijającej władze umysłowe uczniów. Metoda ta zmniejsza pracę nauczyciela do możliwie najszczuplejszych granic i podnosi do najwyższego stopnia samodzielność uczniów. Pożądanem jest zatem wprowadzenie podobnej metody do naszych szkół elementarnych i napisanie odrazu odpowiedniego podręcznika w języku angielskim. Pomimo wielu trudności, jakie tworzy ortografia angielska w przeprowadzeniu tego planu, miejmy nadzieję, że pierwszej lub później metoda taka przyjęta i w kraju naszym w praktyce zastosowana zostanie.“ Niepospolite zasługi Promyka w zakresie oświaty ludowej, jego uczciwa, sumienna praca na tem polu, już mu zjednała oddawna uznanie całego ogółu naszego; ucieśza się też wszyscy ludzie dobrej woli, że i obcy poznali się umieli na wartości tego zacnego pracownika.

— Kassa pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia Józefa Mianowskiego, ukończyła pierwsze dziesięciolecie swojego istnienia i przyznać należy, że ta jedyna w rodzaju swoim instytucja nasza zawsze cieszyła się uznaniem ogółu, ale pod względem materialnym zaczyna się objawiać od pewnego czasu pewne obniżenie okazanego tu interesu. Kiedy w roku pierwszym założenia tej pożytecznej instytucji, było członków, wnoszących 5 lub 10 rs. rocznie, 635, obecnie jest ich 591, zatem i dochód kassy, który w owym pierwszym roku 1882 przedstawiał sumę 3.831 rs., w roku 1891 wykazał sumę 3.318 rs. Tylko liczba członków honorowych 82 pozostała niezmienioną. Na rzecz kassy uczynione zapisy przyniosły kapitału przeszło 55.000 rs., stan funduszu przedstawiał w roku sprawozdawczym 32.844 rs., rozechód był 23.611 rs. Kapitał zasobowy kassy wynosi 10.250 rs., fundusz obrotowy, powstający ze składek członków, z procentów od zapisów, ze zwrotu pożyczek, wynosił wraz z pozostałościami zeszłoroczną 15.550 rs.; wydano z tego 13.039 rs. Komitet zarządzający kassą składali w roku sprawozdawczym pp. Wł. Andrychiewicz, T. Baranowski, P. Chmielowski, K. Dejke, K. Dobrski, M. Godlewski, Z. Kramsztyk, A. I. Kryński, W. Kwietniewski, A. Słóarski, H. Struve. Prezesem kassy był Dr Baranowski.

— Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych przedstawia stan bardzo pomyślny tak pod względem zwiększonej liczby członków, jak i ruchu artystycznego. Liczba członków przedstawia 6.460 stowarzyszonych, dochód roczny 43.639 złr. Z tej summy obrócono na zakup dzieł sztuki do rozłosowania między członków 10.250 złr., na premjum roczne wydano 7.325 złr. na nagrody konkursowe 180 złr., Tow. Wzajemnej pomocy artystów wypłacono 968 złr. Na pożyczkach u artystów posiada Towarzystwo 3.118 złr. Fundusz żelazny wynosi 22.829 złr. i użyty będzie wkrótce na wybudowanie własnego domu dla Towarzystwa, a to z powodu, że magistrat przeznaczył zajmowany dotąd lokal w Sukiennicach na rozszerzenie Muzeum Sztuki.

— Towarzystwo upiększenia Krakowa liczy członków 150; kapitału posiada przeszło trzy tysiące reńskich.

— Doroczny popis uczniów i uczennic krakowskiego konserwatorium muzycznego, które pozostaje pod dyrekcją p. Wład. Żeleńskiego, wykazał zaznaczające się talenta wokalne i muzykalne tak między uczniami, jak i uczennicami.

— Urządzenie pokoju Szopena na wiedeńskiej wystawie muzycznej - teatralnej jest wspaniałe; smak dobry przewodniczył tu we wszystkim a ilość cennych okazów jest bardzo znaczną. Pokój ten i oddział muzyki przedzielony jest małym passażem od dalszego poddziału, który tworzy dwie grupy. Pierwsza przedstawia autorów dramatycznych: portrety olejne, biusta, fotografie umieszczone są pod wielkimi płótnami pędzla Matejki, na których widnieją: Jan Kochanowski, J. Szujski, kasztelan Wężyk. Wpółrodku portret olejny Fredry ojca, biust Słowackiego, dalej Korzeniowski, Kraszewski, Feliński, po bokach wielkie dwa popiersia Mickiewicza i Kochanowskiego. Fotografie żyjących autorów ugrupowane są na wielkim wachlarzu z amarantowego pluszu. Tutaj mieszczą się również autografy i pamiątki rozmaite, a pomiędzy nimi podpis Mickiewicza, rękopisy Alexandra Fredry, ojca i syna. Naprzeciwko, na ścianie kompozytorów, widnieje portret Kurpińskiego, Lipińskiego, Wieniawskich; jest portret Żeleńskiego, portret kredką przez Grotgera, Ogińskiego, Moniuszki, medaliony Elsnera, Kątskich.

— Z dniem ostatnim ubiegłego miesiąca otworzono we Lwowie, w ogrodzie botanicznym, pierwszą tutaj wystawę kwiatów, urządzoną staraniem towarzystwa ogrodniczo-pszczelniczego. Wystawa przedstawia się bardzo wdzięcznie, szczególnie odnacza się dobór bardzo pięknych róż i palm. Miody i wina owocowe różnych gatunków wykazują wielki postęp w tej pożytecznej gałęzi gospodarstwa domowego.

— Wystawa modeli na pomnik Fredry zamknięta została z dniem pierwszym bieżącej miesiąca; za pracę najlepszą uznano model prof. Marcconiego, drugie miejsce przyznano modelowi włoskiemu, trzecie Wiśniewskiemu.

— Lwowskie Towarzystwo Ś-go Wincentego à Paulo, to jest towarzystwo dobroczynności, świadczące wiele dobrego, wniosło do Galicyjskiej Kassy Oszczędności we Lwowie memoriał w sprawie budowania, tak we Lwowie, jak i w innych ludniejszych miastach Galicyi, zdrowych mieszkań taniach dla robotników i w ogóle ludzi ubogich. Miasto rozszerza się i zabudowywa, wskutek tego znikają małe domki i chaty podmiejskie, na których uwięźnięta potrzeba wznosić inne, aby ludność niezamożna mogła znaleźć tam zdrowe, nieprzeludnione mieszkania. Wyróbników liczy Lwów 10.147, czeladzi rzemieślniczej 15.000, ludzi ubogich utrzymujących się ze służby 5.434 osób, którym mieszkań takich potrzeba. Wzórów mieszkań powinien dostarczyć zarząd miasta. Mieszkania ubogich w amerykańskich miastach, szczególnie w Nowym-Jorku, dostarczyć by ich mogły.

— Krakowskie Towarzystwo Kolonii Letnich wysłało na miesiące Lipiec i Sierpień 60 dzieci do Rudawy i Siedleca pod Krzeszowicami. Do Rabki wysłane też będą partye inne dzieci słabowitych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: Arkusz 7-my powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Towarzystwo wspierania ubogich na duchu. — Krzysztof Kolumb (dalszy ciąg). — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez J. Nitowskiego. — Nad rzeką Ś-go Wawrzyńca przez (dokończenie). — **Z bieżącej chwili.** —

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Jedwabnictwo produkcyjne. — Cytry mowiące. — Konfitury i konserwy. — Przechowanie wędlin podczas lata.

Dzięki powtórnie zawiązanej czyli odnowionej spółce jedwabniczej, chociaż powoli hodowla jedwabników od pewnego czasu coraz większe u nas czyni postępy, co naturalnie należy w większej części przypisać staraniom niezmordowanego w tym kierunku pracownika p. Boguckiego, prowadzącego specjalny zakład jedwabniczy, a co więcej, rozwijalnią kokonów w Bogucinie, obok Siele pod Warszawą, za rogatką belwederką, gdzie potrzebujące panie i panny jakich wiadomości w tej kwestyi mogą się listownie udawać — powtarzam panny, bo głównie panny, mające czas i swobodę ruchu w pracy, powinny się zajmować tym przemysłem, tak bardzo korzystnym. Dziś, kiedy towarzystwo jedwabnicze pośredniczy w sprawie spieniężania kokonów, nie ma już mowy o trudności w korzyściach z podobnej pracy. Rozwijać kokony jest rzecz najtrudniejsza, która z pań się tej nauczy, umieć będzie wszystko w tej produkcji, na jedwab rozmotany zawsze kupiec się znajdzie, a cóż za zadowolenie z tego wypadnie, gdy się ubierać będziemy w materye, tkane z jedwabiu, przez nasze panie wyprodukowanego. Czytaliśmy w gazetach w miesiącu Wrześniu roku zeszłego, iż któryś z nauczycieli wiejskich dostarczył spółce jedwabniczej 6 pudów kokonów za które otrzymał 180 rs. Czyż to nie powinno zachęcić panie tak wiejskie jak miejskie, gdzie tylko jest ogród do zasadzania drzew morwy i eksploataowania przemysłu, który przy niewielkiej pracy starannej wprawdzie daje tak wielkie korzyści! Mam najsilniejsze przekonanie, że z każdym rokiem przybywać nam będzie producentek, które nie pozwolą jak dotąd wyprzedzić się rodzajowi męskiemu w tej tak prawdziwie kobiecej pracy. Lipiec jest polem pracy gospodarczej dla wiejskich gospodyń, owoce, jarzyny, wszystko zaczyna dojrzewać, jest więc zajęcie się, aby przysporzyć, jeżeli już nie produkcyjnych przedmiotów dla zebrania pieniędzy, to przynajmniej zapasów na uprzyjemnienie sobie zimowego sezonu. Panie miejskie, opuszczające miasto dla kuracji, lub tylko willegjatury, niech się nie kłopotują, że nie będą miały w zimie konserw, na letnich mieszkaniach niech się nie trapią smażeniem i t. p., bo na przedce bez właściwych przyborów a głównie ze złych owoców z oszczędnością cukru robione konfitury, źle zapakowane, przy trudności przewożenia słoików i butelek będą zawsze złe, burzące się, jeżeli się nie potłuką w drodze. W roku zeszłym wyliczyłam, iż w drugiej połowie Września jest jeszcze dwanaście rozlicznych owoców i jarzyn, z których można smażyć konfitury.

W dzisiejszym numerze podajemy warunki, w jakich odbywać się powinno smażenie owoców i jarzyn a jeszcze nadto podaję sposób francuzki

zasuszania owoców, którego sama doświadczyłam i który radzę w Sierpniu przy większych dojrziałych owocach sprawdzić, przy drobnych bowiem, jak maliny i agrest, tylko sposób kijowski, podany w „Jedynych praktycznych przepisach“ edycya 14, daje się zastosować.

Jeszcze jedno przypomnienie. Pamiętać należy, iż podczas lata wszelkie wędliny, jak: szynki, salami, kielbasy wędzone, przechowują się dobrze tylko w przewiewnych miejscach, to jest na górach lub śpiżniach, będących od strony północnej. Stanowczo nie można trzymać je w piwnicach lub nawet lodowniach; mając zaś dużo słoniny w połciach, obwędzić ją nad lekkim bardzo dymem, lub chociaż obsuszyć nad kominem a nie będzie jeleżeć i zostanie w smaku równie dobra jak świeżo solona. Ponieważ dobra szynka jest zawsze pożądanym przysmakiem podczas lata, więc przechowanie jej w stanie świeżości jest nader ważne. Otóż wziąć worek z tkaniny bawełnianej, szynkę obwinąć watą, włożyć w worek i przechowywać w suchym miejscu. W braku waty można ją zastąpić dobrem bardzo suchym sianem, którem obtulić w około szynkę umieszczoną w worku. Można worek włożyć między omłócone zboże, jeżeli się takowe na śpiżni znajduje.

L. C.

Smażenie owoców i jarzyn.

Główne warunki smażenia są następujące:

- 1) Owoce i jarzyny podatne do smażenia powinny być świeże i najskrupulatniej oczyszczone.
- 2) Mieć zapas naczyń przeznaczonych li tylko na ten użytek. Najlepsze do smażenia są naczynia mosiężne, bo nie wpływają źle na kolor, w braku zaś mosiężnych można używać kociołków miedzianych dobrze pobielanych. Nadto posiadać zawsze w pogotowiu garnki i miski kamienne i porcelanowe.
- 3) Nie zostawiać nigdy owoców w kociołkach dla wystudzenia; jest to szkodliwe zdrowiu, bo wywołuje tworzenie się grzybyszpanu.
- 4) Wszystkie naczynia: słoje, garnki, miski i puszki natychmiast po użyciu wygotować, a przed użyciem powtórzyć to samo i osuszać, przewracając do góry dnem w miejscu ciepłym lub na słońcu. Próżne naczynia stawiane do wysuszenia na trzonie należy z wierzchu pokryć papierem.
- 5) Na konfitury brać owoce i jarzyny zupełnie dojrzałe, bez plam. Nie zbierać ich podczas mgły, ani też podczas deszczu, ani nawet podczas południowego słonecznego upału. Nieuwaga w tym względzie spowodowała fermentacyę.
- 6) Owoce powinny być aromatyczne ale nie przejrzałe, bo wówczas mają już w sobie zarodek zepsucia, łatwo wywiązujący się po usmażeniu.
- 7) Wszystkie składniki użyte do smażenia powinny być w jak najlepszym gatunku.

8) Przy używaniu gwoździków, należy zachować ostrożność, ponieważ owocom jasnym nadają plamki czarne; trzeba więc je gotować tylko w syropie.

9) Owoce i warzywa, które potrzebują zachować właściwy sobie kolor zielony, jak: renekłody, orzechy, winogrona, smażyć w syropie, do którego wrzucić kawałek alunu. Zdrowiu nie szkodzi a utrzymuje kolor.

10) Wszelkie konserwy winny być pokryte płynem, bez czego owoc ulega łatwo pleśni.

11) Słoje i puszki zamykać hermetycznie a na wierzchu przed ich zamknięciem osłonić konserwę papierem, zlanym arakiem lub dobrą oliwą.

12) Każde naczynie zaopatrzyć etykietą z napisem daty wykonania i co w sobie zawiera.

13) Wszelkie konserwy smażone, suszone lub kwaszone zachować w miejscu nie zbyt widnem, chłodnem, najwyżej 12° Reaum., w słojach lub naczyniach proporcjonalnej wielkości, ażeby konserwa łatwo się przetrwała.

14) Przy gotowaniu owoców pestkowych, kto lubi może część pestek obrać i ziarenka wrzucić do słoików — podnosi to aromat.

15) Przy otwieraniu naczyń, należy zachować ostrożność przy wyjmowaniu owocu, ażeby nie uszkodzić ani tych, które się wyjmują, ani pozostałych. Najlepiej łyżką srebrną powierzchnię wyrównać, papier na nowo założyć albo odmienić i mocno naczynie zawiązać. Nigdy żadnych pozostałych resztek do słoja nie wkładać.

16) Od czasu do czasu konserwy obejrzeć, ażeby we właściwym czasie od zepsucia ochronić. Gdyby się okazało najłżejsze wzburzenie, należy zaraz wypotrzebować lub przegotować, ale w takim razie konserwa trwała już nie będzie.

17) Owoce, które powtórnie się psują, najlepiej przerobić na marmoladę.

18) Wszelkie soki w butelkach, zamiast korkować, pozatykać szczelnie watą i obwiązać pęcherzem. Wata w tym celu jest najlepszą, bo nie dopuszcza powietrza.

N. B.

Sposób francuzki zasuszania owoców.

Świeżo obrane owoce kładą się w wodę wrzącą i trzymają dopóki zupełnie nie zmiękną. Po wyjęciu ułożyć na sito, pod które postawić czyste naczynie do ściekania z nich soku. Osuszone tym sposobem ułożyć na blachach i w piec wstawić po wyjęciu chleba, gdzie pozostać muszą 24 godzin. Po wyjęciu z pieca przypłaszczyć ręką, maczać w soku, który poprzednio ociekl z owocu, a później na sitach w ciepłym miejscu obsuszyć. Układając w pudełka na przechowanie, przesypać należy warstwami zupełnie mialkim cukrem.

L. C.

O użyciu waty do zachowania konserwów w puszkach.

Wszelkie konserwy z mięsa, owoców i ryb powinny być szczelnie zamykane, ponieważ powietrze atmosferyczne w połączeniu z ciepłem niszczy je zupełnie a nadto dopuszcza rozwój rozmaitych żyjątek. Otóż to hermetyczne zamknięcie zastępują obecnie płatem waty, która dopuszcza tylko potrzebną ilość powietrza i działa jak filtr, oddalając od konserw wszelkie bujające w powietrzu ciała, jak mniejsze, tak większe. Dla skutecznego użycia w tym celu waty, należy najprzód ogrzać takową przy gorącym piecu, co uśmierca wszelkie organizmy, jakie w bawelnie istnieć mogą. Naczynie powinno być opatrzone szyjką, która dozwoli użyć waty jako korek. Dobrze urządzonej konserwa w ten sposób zamknięta może bez szkody przetrwać całe lato. Korek utworzony z waty dobrze obwiązać pęcherzem lub papierem albuminowym. N. B.

Angielska choroba (rachitis)

niewłaściwie kurczem nóg u piskląt zwana.

Leczenie. Przewszystkiem kurczęta nie powinny być przekarmiane, co prawie zawsze dzieje się przy wychowie zimowym. Z nudów samych, gdy zamknięte w stancyi jedzą one bezustannie, za wiele, aby poszło im to na pożytek. Nadmiar w wolu kurczęciem pokarmów, nie potrzebowanych przez organizm, wytwarza kwasy w żołądku, co znów oddziaływa na kości i zmniejszenie stawów, mylnie przypisywane kurczom. Przedewszystkiem trzeba pacjentów trzymać głodniej, a wygłodziwszy trochę wziąć siemienia konopnego, nadgnieść nieco, jak dla kanarków, najłatwiej używając grubej butelki, zamiast wałka, i tego siemienia nadgniecionego, trzy razy dziennie głodnym kurczętom dawać jako pokarm. Za napój dawać ciepłą wodę, nawet mocno ciepłą, byleby sobie dziobków nie parzyły, zaprawioną kwasem salicylowym. Woda bardzo nie wiele przyjmuje tego kwasu. Gdy się go wsypie łyżeczkę od kawy, do zwykłej butelki od wina, napełnionej wodą gorącą, to jeszcze pomimo silnego zmieszania nie wszystko się rozpuści. Po ustojeniu się, wodę tę zagrzewać mocno i nalewać w małe miseczki. Siemię obudza pragnienie, przy każdej zatem porcy, należy stawiać ów salicylowy napój. Wszelkie podawane pokarmy kurczątkom, powinny przedstawiać się ostrawo-sypkie, *ale nigdy* klejasto-papkowate. Każda kasza dla nich przeznaczona, na pół ugotowana, a nigdy rozgotowana. Przy tych ostrożnościach kurczęta rzadko na nóżki chorują. Łatwiej daleko ochronić pisklę od tej słabości, jak wyleczyć. W początkach mojej hodowli miewałam całe stadka czołgające się na słabych nóżkach, albo balykujące się na rozwodzących się nóżkach. Od paru jednak lat nie spotykam się więcej z tego rodzaju objawem.

Isabella Ryz.

Likier z kwiatu lipowego.

Główną odmianę w każdym likierze gra aromat, reszta bowiem, jak: cukier, spirytus i woda, powtarzają się niezmiennie w każdym. Otóż bardzo aromatyczny likier robi się z kwiatu lipowego. Gdy tylko co lipy zaczynają kwitnąć zerwać garść kwiatu i nalać go kwatereką najlepszego spirytusu, zostawiając na cztery dni w cieniu. Dwa funty cukru nalać pół-kwartę wody, zagotować na syrop jeden raz, gorący rozbierać trzema kwaterekami

spirytusu 94 próby, dolawszy poprzednio przefiltrowany spirytus, zlany z kwiatu lipowego, wymieszać dobrze, a gdy przestygnie wlać w trzy mniejsze lub dwie większe butelki, bo go powinno być blisko pół garnca. Nie trzeba go filtrować, bo po 10 dniach odstoi się i będzie jak łaźnia czysty z bardzo miłym zapachem. L. C.

Konfitura z malin w całości.

Maliny mają tę wielką wadę, iż rozlatują się łatwo i pestki z nich wypływają. Otóż, chcąc je mieć w całości, brać na funt malin dwa funty miążkiego cukru, zmoczyć rondel dobrze wodą, posypać warstwę cukru, układać maliny jedne obok drugich, znowu cukier i znowu maliny, z wierzchu musi być warstwa cukru. Więcej jak z 2 funtów malin a 4 cukru nie można tym sposobem smażyć. Postawić rondel na ogniu i polać powoli cukier dwoma do trzech szklankami wody na 4 funty cukru, uważając, aby cukier był dobrze wilgotny i smażyć na dobrym ogniu 20 minut, zdejmując z ognia za każdą razą, jak się pianą okryją i zbierając wtedy bibułą szumowiny. Dosmażyć na zupełnie wolnym ogniu 10 minut, póki nie będą przezroczyście i póki nie znać, że straciły surowość. L. C.

Rizi - bizi (potrawa włoska).

Ryż z parmezanem jest zawsze dobrą potrawą, otóż we Włoszech podano mi wyborny ryż innym sposobem. Ćwierć funta ryżu zblanżerować czyli lekko zagotować, odlać, a następnie uprzążyć w młodej maśle, podlewać nieco wodą, żeby się nie przypalił pod pokrywą, pół kwarty zielonego groszku świeżego wyłuskać i ugotować na dużej wodzie z solą, parę młodych grzybków także ugotować i pokrajać w paseczki; wymieszać ryż, groszek i grzybki z łyżką młodego masła i łyżką parmezanu, posolić, włożyć w głęboką glinianą miseczkę masłem wysmarowaną i na 5 minut, wyraźnie piec wstawić w piec, żeby się zlepilo i rozgrzało. Wyrzucić na talerz i posypać grubo parmezanem. Bardzo dobra jarzyna. L. C.

Kurczęta duszone.

W braku różna lub odpowiedniej kuchni, bardzo dobre można podać kurczęta duszone w rondlu. Na troje kurcząt zagotować mocno na żółto, ale jeszcze nie rumiano łyżkę masła, włożyć kurczęta całe, posolone, przygotowane jak na rożen i na mocnym ogniu zrumienić na wszystkie strony, następnie postawić na wolniejszym, przykryć pokrywą, zaglądając aby soku nie puszczały, wtedy należy zaraz odkryć, gdy znać że już nie surowe, mieć na talerzu tartą bułkę, utarzać każde w niej, rondel postawić znowu na lepszym ogniu, włożyć kurczęta napowrót, a przewracając je na wszystkie strony dać się bułce zlekka zrumienić. Całe duszenie, jeżeli kurczęta małe, nie powinno dłużej trwać nad dobre pół godziny, jeżeli większe—trzy kwadransy. Są bardzo smaczne, jeżeli starannie zrobione. L. C.

Ryż z migdałami na zimno.

Ćwierć funta ususzonego ryżu utłuc na kaszkę drobną. Ćwierć funta oparzonych i drobno usiekanych migdałów ugotować w pół kwarcie mleka, dolożywszy ćwierć funta cukru, i gdy się dobrze gotuje wsypać ów tłuczony ryż i mieszając ciągle, ugotować aż będzie kaszka miękka. Wtedy zdjąć ryż z ognia, jeszcze trochę pomieszać, ubić 2 białka na pianę, włożyć w gorącą masę, wymieszać, wyłożyć na półmisek, wynieść w chłodne miejsce do wystudzenia, a podając poleć sokiem owocowym i ubrać konfiturami. Można także zrobić sos z soku używany do legomin (patrz „365 Obiadów“ wydanie 16). L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z groszku zielonego z grzankami.
2. Sztuka mięsa biała z ogórkami.
3. Galarepka nadziewana.
4. Kurczęta z kompotem z wisien.
5. Suflet z malin.

Doświadczenia praktyczne

Robiąc makaron, na funt maki brać cztery jaja, bo tyle funt maki zabierze, jeżeli jaja małe to pięć a nawet sześć, szczególnie jeżeli mąka sucha.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Ćwierczakiewicz.

1. **Kolęda dla gospodyń.** Kalendarz na rok 1892 (rok 17-ty). Cena kop. 50.
2. **Podarunek ślubny** czyli „Kurs gospodarstwa dla kobiet“ (wydanie 2). Cena rs. 1.
3. „365 Obiadów“ (wydanie 16) rsr. 1 kop. 80 w oprawie.
4. **Jedynie praktyczne przepisy** konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzona została medalem złotym (wydanie 14). Cena rs. 1 kop. 30 w oprawie.
5. „Poradnik porządku i różnych higienicznych wiadomości“ (wydanie 3). Cena kop. 70.
6. **Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela** z 239 rycinami. Cena rs. 1.

PRZEGLĄD MÓD.

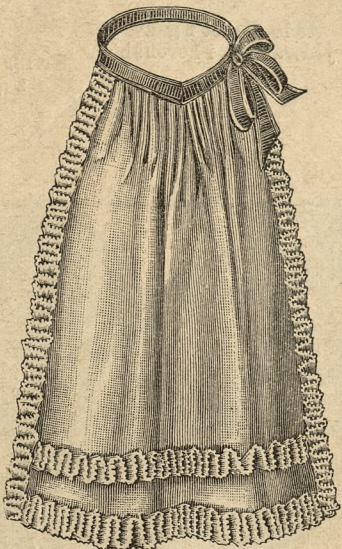
Paryżkie podniesienie sukni. — Rękawy na lato. — Koronki i koronki. — Co brać na spacer, jak się ubrać w drogę, co zabierać z sobą. — Trzewiki.

Byliśmy zawsze przeciw suknom powłóczystym na ulicę lub na spacer, które z konieczności trzymane w ręku, zatracają harmonję całej tualety, krzywiąc wszystkie jej linje. Na spacerze pieszym suknie takie stawały się coraz niewygodniejsze, pozbawiając nas swobody ruchu. Otóż paryżanki, które przedewszystkiem są praktyczne, wynalazły sposób, aby suknia była do dwóch użytków. Mówiliśmy już o sposobie używanym w pracowniach p. Herzego do podniesienia sukni, to jest przy szycie w tyle w pewnym odstępnie od paska, guzika i pentelki do podpięcia w razie potrzeby, dziś podajemy obszerniej sposób paryżki, który mamy niezłomne przekonanie, wszedłszy w ogólne użycie będzie odpowiedział na poważne artykuły w kwestyi długich sukien, jako bardzo szkodliwych zdrowiu.

Otóż w zwyczajnych warunkach nosi się długie kostiumy modny do każdej okazy; małe zaś i bardzo proste urządzenie zamienia go na krótką spacerową suknię w następujący sposób: W odstępnie 12 cent. od stanika w tyle u spódnicy przyszyć można płaski patentowany guzik; 20 centim. poniżej przyszyć w szwie pentelkę z jedwabnej plecionki, która zaczepiona o guzik podnosi bryt tylny; z każdej zaś strony w oddaleniu 70 centim. od środka przodu spódnicy, na tej samej wysokości co tylna pentelka przyszyć jeszcze po jednej, które zaczepić o ten sam guzik. Taka kombinacja tworzy wyborne podniesienie sukien, które stosownie do wzrostu osoby mają z przodu od 100 do 110 cent., a w tyle 130 c. długości. Ani guzik ani pentelki nie zwrócą uwagi, zrobione w kolorze odpowiednim do sukni, a



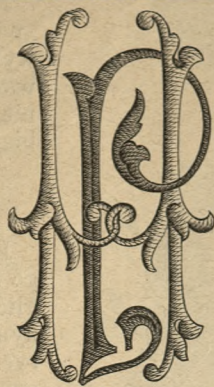
Nr 1. Napierśnik z materiału jedwabnego haftowanego.



Nr 4. Fartuszek ozdobiony riuszą.



Nr 3. Suknia z gorsecikiem ozdobionym haftem i z kaftanikiem „Figaro.”



Nr 2. Monogram.



Nr 5. Fartuszek z gorsecikiem.

urządzenie takie daje się zastosować do każdego kostiumu i nie wątpię, iż kobiety we własnym interesie bez zwłoki sposób ten zastosują. U pana Herzego od kilku już tygodni robią suknie spacerowe krótkie.

Jako nowość, francuskie dzienniki mód obwieszczają, że suknie letnie powracają do rękawów pół długich, prawie tylko do łokcia, staniki zaś po większej części będą wycięte i dopełnione pelerynkami, fiszatkami koronkowymi lub muślinowymi itp. Mówiliśmy już o tem. Jest to moda na upały, wśród których kołnierze wysokie stojące i wąskie rękawy bez miary przydłużone, prawdziwą są kłeską. Wchodzą również w użycie staniki koronkowe, podszywane lekkim jedwabnym materiałem, wycięcie zaś zaopatrzone podszewką z materiału jedwabnego koloru cielistego.

Co do koronek, jakie gatunki dotąd wymyślono, wszystkie bez wyjątku są używane. i to w jak największej ilości. Naturalnie owe kosztowne staroświeckie na wagę złota dziś nabywane, mają pierwszeństwo przed innymi, ale służą tylko dowiedkich tualet i to klasie uprzywilejowanej.

Płaszcze koronkowe, mantylki, burnusy krótsze lub dłuższe, tak zwane „Capes,” pelerynki a nawet suknie, nigdy jeszcze tak wielkiej nie używały wziętości.

Na letnie wycieczki i spacer, na wypadek chwilowej zmiany powietrza, lub wieczornego chłodu, używane są szaliki kaszmirowe miękkie wehłiane, lub też chustki. Jest to wygodniejsze do zabierania z sobą na rękę, jak wszelkie inne okrycia, wymagające starannego złożenia. Płaszcze długie lekkie po największej części są czarne jedwabne, lub szkockie z pelerynami czarne jedwabne, jednak w podróży okazały się niepraktyczne, ze względu na łatwe przyjmowanie kurzu, jak wszel-



Nr 8. Fartuszek ozdobiony haftem.



Nr 6. Suknia z woalu w pasy ozdobiona wstążką.

Nr 7. Suknia formą „princesse” ozdobiona aksamitką.



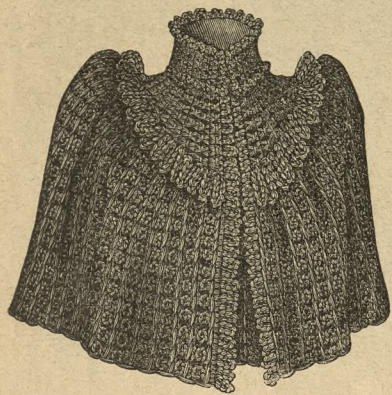
Nr 9. Spódnica okrągła. (Krój Fig. 1).

luźno opadających części służy pasek z czarnego aksamitu w tylnej części z wierzchu a po bokach przesunięty pod spód przez otwory, jak wskazuje ryc. Kołnierz aksamitny, dolna część rękawów koronkowa.

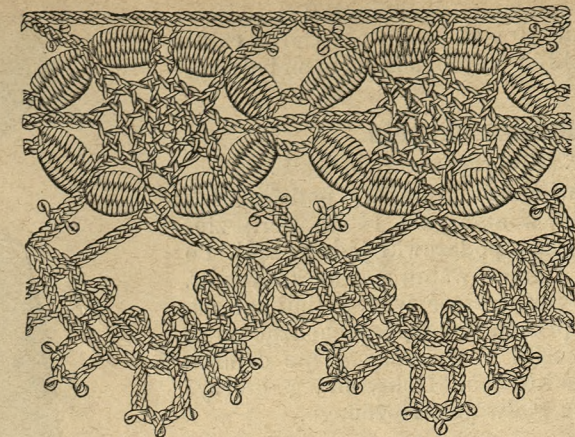
Suknia z materiału krepowanego ozdobiona haftem i wstążką.

Rycina Nr 22 i 19.

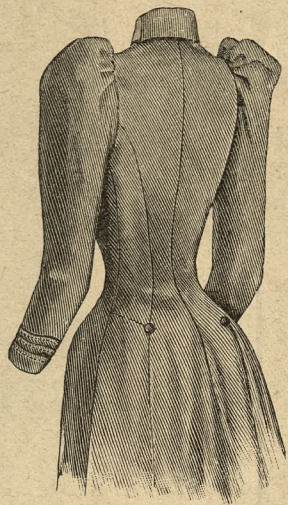
Suknia z materiału wełnianego krepowanego koloru niebieskiego. Dolna część otoczona riuśką z czarnej atlasowej wstążki 8½ cent. szer. Stanik zapinany w tylnej części, skrajając z repsu niebieskiego przednie części, boczki i plecy ozdobić haftem wykonanym czarną i białą sznelą



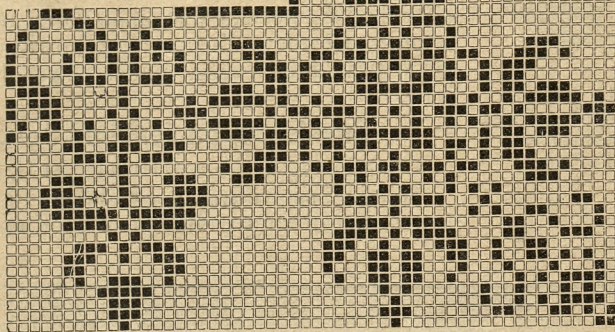
Nr 29. Peleryna wykonana szydełkiem. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 70).



Nr 28. Koronka klockowa do serwetki Nr 34.



Nr 27. Tylna część sukni Nr 24.



Nr 30. Desen do ryc. Nr 33 (cerowanie na siatce).



Nr 32. Postument na laski do pokoju męskiego. (Desen odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 27.)

Nr 31. Serweta na stół z pluszu i sukna (malowidło gobelinowe w otoczeniu haftu gałkowego). Desen odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 71.

haftem maszynowym na krepie tegoż koloru. Czarna atlasowa wstążka ułożona podług ryc. 9 cen. szer. wykończa całość.

Suknia z materiału koronkowego.

Rycina Nr 23 i 25.

Suknia koronkowa na podszewce czarnej jedwabnej lub stosownie do gustu kolorowej (ryc. przedstawia spód koloru niebieskiego). Dolny brzeg spódnicy koronkowej otoczony 2-ma rzędami 4 cent. szer. repsu jedwabnego niebieskiego i podług ryciny przybrany kokardami ze wstążki tegoż koloru. Stanik odpowiednio przybrany wstążką, rękawy z epoletami koronkowymi. Pasek i plecy przybrane kokardami.

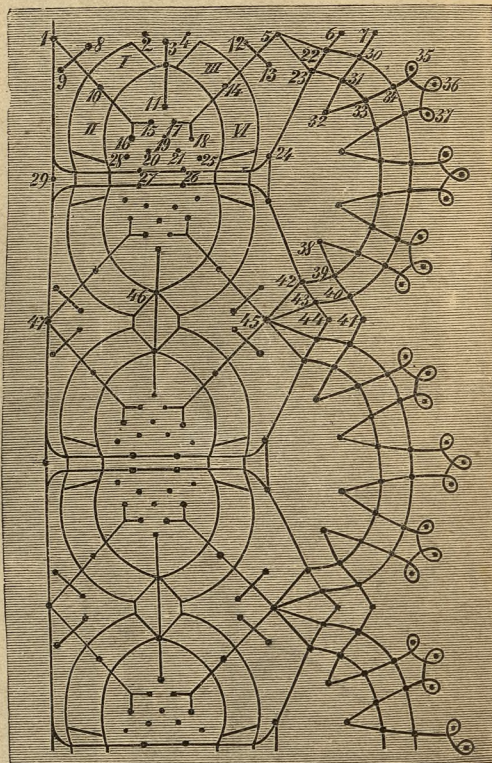
Suknia z wetmanem dla starszej osoby.

Rycina Nr 24. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—12).

Suknia z materiału wełnianego koloru piaskowego i z tegoż koloru repsu, złożona ze spódnicy i wetmanu. Spódnica wykonana zwykłym sposobem 115 c. dł. a 204 c. obwodu. Co do wetmanu, po dopełnieniu złożenia fig. 5, 7, 8 i 11 skrajając z podszewki fig. 1, 4, 6 i 7, z materiału wełnianego fig. 3, 5 i 8 po dwie części, ale fig. 5 i 8 należy przydłużyć w kie-

runku strzałki podług potrzeby i stosownie do kroju; w fig. 8 zwrócić uwagę na kierunek podłużnej nitki a w fig. 3 na kontur lewego przedniego brzegu. Po wykonaniu w przednich częściach z podszewki fałd i zaszepek, wykonać napierśnik z białego wełnianego materiału, podkładu i podszewki podług fig. 2, skrajawszy wzdłuż środka, przyszyć takowy do prawej przedniej części z podszewki, na lewej zaś

zapinać. Wyłożenie zaopatrzyć podkładem i jedwabnym repsem, umocować w górze każdy ¼ na kropce, przyszyć do podszewki podług cyfr i znaków i zaopatrzyć prawą przednią część kamizelki w dziurki a lewą w odpowiednie guziki. Wyłożyć wzdłuż linii zgięcia i przytastrygować podług cyfr i znaków do fig. 1 i 4. Po pokryciu materiałem wełnianym 2-go boczka, w fig. 8 wykonać fałdy, trafiając ¼ na kropkę, wyłożyć część wzdłuż linii zgięcia, przyszyć do pleców z podszewki, połączyć razem jako też z 2-gim boczkiem, na którym umocować materiał od 12 do 12. Następnie połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, ale uważać, ażeby podszewka od wcięcia aż do dolnego, razem była zeszyta. Fałdy przyszyć mocno na tasimce elastycznej 8 centim. dług. w miejscu oznaczonym * i dwukropkiem, kołnierz wykonać z materiału białego wełnianego, podkładu i podszewki podług fig. 9, z uwzględnieniem konturu lewego brzegu spada-



Nr 33. Wzorek do koronki Nr 28.

jącego na tenże, kołnierz z piaskowego koloru materiału skrajanego podług fig. 10 z materiału wzdłuż środka, przymocować takowy do kołnierza stojącego od 20 do 21 i wszyć w wetman. Następnie skrajając rękawy i wykończyć podług ryc. klapki potrójne podług ryc. 12 wykonać 2-ie z materiału a jedną z jedwabnego repsu.

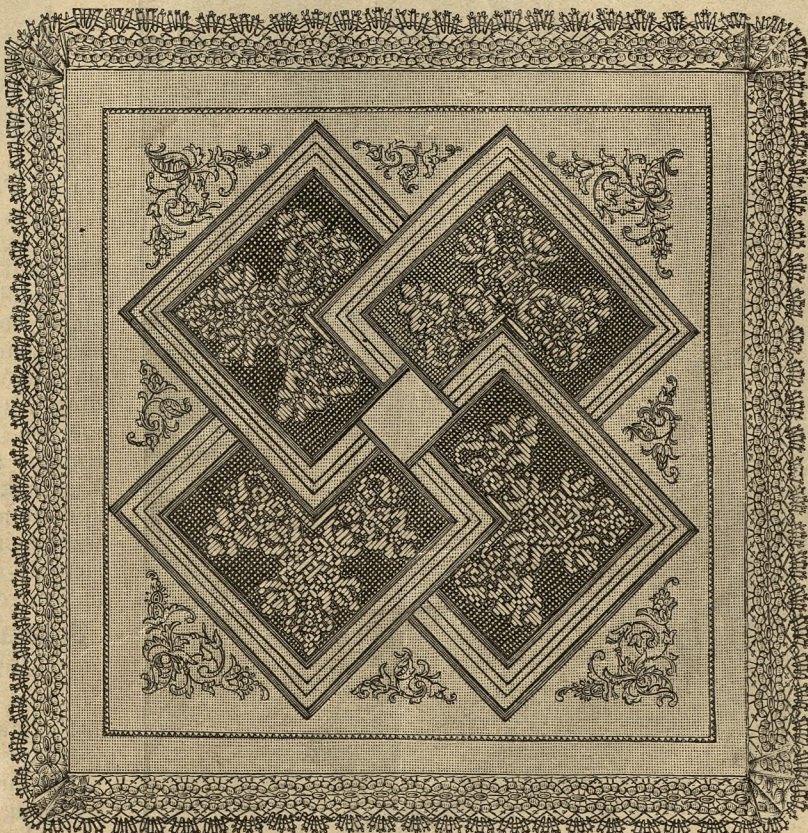
KORESPONDENCYA.

Trudno, abym znała, wszelkie przepisy firm angielskich, jakie pani wymieniła, to wiem, że biskopaty angielskie a więc i ciastka robią z maki kukurydzowej, cukru i jaj. Uważam jednak, że nasze półksiężycy i wiele innych gatunków, naśladowanych angielskie są o wiele lepsze, choćby dla tego, że je świeżo mieć można.

Konkurencja o pracę w Warszawie jest tak wielka, iż nie umiem pani dać rady, w jakim kierunku jej szukać, szczególnie w warunkach pani „brak uzdolnienia” i niemożność wydalania się z domu, chyba nauczyć się bezpłatnie w szkole koronkarstwa pani Gabriel koronek, i produkowanie ich w domu.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu.”



Nr 34. Koronka ozdobiona haftem, robotą siatkową i koronką klockową (do ryc. Nr 28, 30 i 33). Desen pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36 i 37.